

Świńskie parady — Władysław Wołoch — str. 3 • Podatki trzeba płacić... — str. 3 • Nie zgadzam się z prof. Langem — Zofia Dobrzańska — str. 5 • Spór o właściwe pojmowanie socjalizmu — Jerzy Kleer — str. 7 • Spekulacja jest, przepięknie nie ma — Zygmunt Sawicki — str. 8

DEMOGRAFIA a budownictwo mieszkaniowe

WITOLD NIECIUŃSKI

Zostały już rozpoczęte prace nad perspektywicznym, 20-letnim planem rozwoju gospodarki narodowej na okres 1956—1975. Prace te i szeroka dyskusja, która wyjdzie z nich, powinny być pod dwoma względami. Należy po pierwsze ustalić ogólne

zagadnienia, jak założenia demograficzne i zatrudnienia, ogólne tempo wzrostu produkcji i dochodu narodowego, udział funduszu akumulacji i inwestycji, odpowiedni stosunek inwestycji produkcyjnych i nieprodukcyjnych, wzrost i skład funduszu spożycia. Równolegle należy prowadzić szczegółowe badania nad możliwościami rozwoju poszczególnych gałęzi produkcji oraz gruntowną analizę stanu gospodarki, szczególnie dziedzin zaciętych, ze zwróceniem uwagi na niedociągnięcia w zaspokajaniu potrzeb materialnych ludności.

Propozycje i wnioski, dotyczące rozwiązania kwestii mieszkaniowej w miastach, chciałbym uważać za rozpoczęcie dyskusji nad zagadnieniami należącymi do drugiej grupy. Ze względu na brak dostatecznie ścisłych danych statystycznych oraz hipotetyczny charakter wielu założeń, rozważania moje mogą posiadać jedynie wartość orientacyjną. W trakcie dalszej dyskusji nad planem perspektywicznym trzeba będzie śledzić środki rozwiązania kwestii mieszkaniowej i na tej podstawie dążyć do zapewnienia odpowiedniego miejsca dla gospodarki i budownictwa mieszkaniowego w rozwoju całości gospodarki narodowej.

HIPOTEZA LUDNOŚCIOWA

Punktem wyjściowym oceny potrzeb nowego budownictwa jest hipoteza ludnościowa. Nie wdając się w szczegóły tego zagadnienia przyjmuję, że ludność Polski wzrośnie w okresie lat 1956—1975 o 10,5 mln, licząc w tym również wzrost ludności związany z repatriacją, i osiągnie ok. 38 mln. Drugim zjawiskiem decydującym o wzroście ludności miast jest ruch migracyjny ludności ze wsi. Konieczność migracji wewnętrznej wiąże się z ograniczonym wzrostem zapotrzebowania na siłę roboczą w produkcji rolnej. Szacuję, że ludność miast na koniec 1975 r. osiągnie 19,7 mln, tzn. wzrośnie o 7,5 mln, na co składa się 4,5 mln przyrostu naturalnego i ok. 3,0 mln przyrostu ze wsi.

Szacunek potrzeb mieszkaniowych oprócz należy do analizy zmian ilości gospodarstw domowych, przyjmując zasadę „dla każdego gospodarstwa oddzielne mieszkanie”. Określenie przynależności do wspólnego gospodarstwa domowego opiera się na subiektywnej podstawie. Zrozumiała jest tendencja do deklarowania odrębności prowadzenia gospodarstwa przez osoby pozostające faktycznie we wspólnym gospodarstwie, ze względu na trudności mieszkaniowe.

Tak jak wątpliwa wydaje się średnia wielkość gospodarstwa domowego podana przez GUS (2,84 osób), również nie do przyjęcia jest podany udział gospodarstw jednoosobowych (25,7%). Na podstawie materiałów i obserwacji przyjmuję przeciętną wielkość gospodarstwa domowego na 3,1 osób, a udział

gospodarstw jednoosobowych na znacznie niższy, tj. 21%; głównie w zależności od wielkości miast kształtuje się on w granicach od 14 do 26%. W związku ze zmianami w strukturze wieku, przewiduje bowiem niewielki przeciętny wzrost gospodarstwa domowego do 1975 r. Wydaje mi się, że obliczenie rozmiarów potrzeb należy oprzeć na założeniu, że jedynie ok. 20% gospodarstw jednoosobowych uznaje się za rzeczywiście samodzielne. Pozostałe przylaczają się do gospodarstw wieloosobowych. Wskutek tego zostaje przekształcona przeciętna wielkość i struktura gospodarstw domowych:

	rok 1955		rok 1975	
	pierwotne	przekształcone	pierwotne	przekształcone
gospodarstw ogółem (tys.)	3.770	3.070	5.990	4.980
jednoosobowych (tys.)	790	90	1.250	250
wieloosobowych (tys.)	2.980	2.980	4.730	4.730
% jednoosobowych	21	3	21	5
śred. wielkość gospodarstw (osób)	3,10	3,81	3,17	3,81

Wobec tego, że na koniec 1955 r. istniało ok. 2.780 tys. mieszkań, deficyt mieszkań wynosił 290 tys. (3.070 gospodarstw — 2.780 mieszkań), a bieżące potrzeby w okresie lat 1956—1975 — 1.910 tys. mieszkań (równie przystawia ilości gospodarstw domowych tj. 4.980 tys. — 3.070 tys.).

Powyższa metoda oparta jest na wyborze najszybszych kryteriów liczenia potrzeb i zawiera w sobie świadome uproszczenia, które mogłyby ktoś przyjąć za błąd.

Wielkość nowobudowanych mieszkań może być dostosowana do struktury gospodarstw domowych według ich liczebności. Struktura posiadanych mieszkań według ilości izb nie odpowiada natomiast strukturze według liczebności istniejących gospodarstw. Brak jest mieszkań głównie 3 i 4-izbowych, a istnieje poważny nadmiar mieszkań małych 1 i 2-izbowych. To niedostosowanie wzajemne jest przyczyną wielkiej ilości mieszkań przeludnionych o złych warunkach, z których część mieszkańców powinna być przekwaterowana do mieszkań nowych. W istocie więc deficyt mieszkań jest znacznie większy. Ten dodatkowy brak szacuję na ok. 330 tys. mieszkań.

SZACUNEK POTRZEB

Następnie uwzględnić należy potrzeby odnowienia części zasobów. Wielkość tę szacuję dla okresu 20 lat, na podstawie analizy wieku i stanu technicznego zasobów, na ok. 500 tys. mieszkań (tj. ok. 1,1 mln izb).

Razem potrzeby nowego budownictwa szacuję na okres lat 1955—75 na 2,7 mln mieszkań, tj. prawie tyle, ile ich posiadaliśmy w 1955 r. Liczba 2,7 mln, względnie przy przyjęciu wyższej oceny deficytu — 3,0 mln mieszkań nie jest dostatecznie określona.

Podstawą określenia wielkości mieszkań jest ustalenie proporcji budownictwa państwowego i ze środków własnych ludności. Wydaje mi się, że budownictwo ze środków własnych oszacować można na nie więcej niż ok. 540 tys. mieszkań,

gospodarstw domowych o średniej 4,3 osób na gospodarstwo, co daje zaledwie 1,1 osób na izbę.

Struktura gospodarstw domowych tej ludności, która będzie zakwaterowana w pozostałych 80% mieszkań budownictwa państwowego, ulegnie zmianie na skutek wzrostu udziału gospodarstw liczebnie mniejszych, co obrazuje następujące zestawienie:

Gosp. dom. o liczbie osób	W % dla całej ludności	W % dla ludności zakwaterowanej w bud. państw.
1	5,0	6,0
2	19,0	23,0
3	21,0	19,5
4	27,0	24,5
5	16,0	15,0
6 i więcej	12,0	12,0
przeciętna wielkość gosp. dom. (osób)	3,81	3,70

Przyjmując, że w zasadzie mieszkania składające się z pokoju z kuchnią (PK) przeznacza się dla gospodarstw 2 i 3-osobowych, z dwu pokoi z kuchnią (2PK) — dla gospodarstw 4 i 5-osobowych, a mieszkania 3 i 4-pokojowe z kuchnią (3PK i 4PK) — dla gospodarstw większych, ustalić można dla budownictwa państwowego odpowiednią stru-

kturę mieszkań według wielkości. Postulowana, przy takich założeniach, struktura mieszkań różni się od zalecanej obowiązującym normatywnym przez zmniejszenie udziału mieszkań małych (P i PK) a zwiększenie udziału mieszkań większych (głównie 2PK).

Rodzaj mieszkania	Ilość izb	Normatywny obowiązu-jący w %	Postulat struktury w %
P	1	10	4
PK	2	43	39
2PK	3	37	43
3PK	4	8	11
4PK	5	2	3

W budownictwie państwowym uzyskalibyśmy przeciętnie na każde 100 mieszkań 270 izb, tj. średnią wielkość mieszkania 2,7 izby. Przy zakwaterowaniu w 100 mieszkaniach 100 gospodarstw domowych, licząc przeciętnie 370 osób, średnie zaopatrzenie wyniosłoby 1,37 osób na izbę.

Średnią wielkość mieszkań w budownictwie ze środków własnych ludności oszacować można, bardzo ostrożnie, na 58—60 m², w budownictwie państwowym na ok. 45 m². Na jedną osobę daje to w budownictwie ludności ok. 13,7 m², a w budownictwie państwowym nieco ponad 12 m². Obowiązujący normatywny projektowania przewidywał 11 m² na osobę. Na mniej intensywne zaopatrzenie mieszkań o podobnej strukturze i wielkości, jakie są obec-

Konferencja prasowa w Urzędzie Rady Ministrów poświęcona bieżącym zagadnieniom gospodarczym

(nie podajemy sprawozdania z powodu niezawłodnienia naszej Redakcji o wymienionej konferencji)

nie, pozwalając będzie stałe poprawianie się warunków mieszkaniowych.

PROGRAM BUDOWLANY

Zakładając, że przez pewien czas obowiązywać będzie obecny normatyw, ustalić można postulat w sprawie programu nowego budownictwa w sposób następujący, uwzględniając równocześnie, że państwo powinno wybudować w okresie lat 1955—75, poza budownictwem mieszkaniowym rodzinnym, ok. 100 tys. izb w obiektach zakwaterowania zbiorowego (patrz tabela nr 4 na str. 7).

Z tego w zakresie budownictwa mieszkaniowego rodzinnego 128 mln m² powierzchni dla 10,3 mln osób, pozostała powierzchnia dla ludności w obiektach zakwaterowania zbiorowego. W budownictwie mieszkaniowym uzyska się średnio 2,9 izb na mieszkanie, 1,3 osób na izbę, 3,8 osób na mieszkanie i 12,5 m² powierzchni na osobę.

Program budownictwa mieszkaniowego będzie realny, gdy zapewni odpowiednio społeczne efekty, będzie odpowiadał w sposób trafny charakterowi potrzeb, wybierze właściwe standardy dostosowane do możliwości ekonomicznych i technicznych i znajdzie zabezpieczenie w od-

DOKOŃCZENIE NA STR. 7.

Uwagi polemiczne W SPRAWIE CEN

Artykuł prof. B. Minca „W sprawie cen” (Zycie Gospodarcze nr 27 z 1957 r.) stanowi ważki głos w toczącej się w naszym kraju dyskusji ekonomicznej.

Prof. Minc przeciwstawia koncepcji, która znalazła niedawno wyraz w „Tezach Rady Ekonomicznej” swoje stanowisko, które w najważniejszych punktach można by scharakteryzować w następujący sposób:

1. nie ma obiektywnych kryteriów w gospodarce socjalistycznej dla

KAZIMIERZ ŁASKI

ustalenia wysokości stopy procentowej, a wliczanie procentów do kosztów produkcji jest błędne;

2. ceny środków produkcji obejmujące procent utrudniają względnie uniemożliwiają przeprowadzenie prawidłowego rachunku ekonomicznego;

3. w celu przeciwdziałania nadmiernemu gromadzeniu środków produkcji przez przedsiębiorstwa należałoby zamiast procentu wprowadzić podatek od środków trwałych i obrotowych;

4. propozycja ujednolicenia zasad ustalania cen środków produkcji i środków spożywczych jest nieporozumieniem i mogłaby doprowadzić w wypadku realizacji do stagnacji gospodarczej.

Ponadto prof. Minc wypowiada się przeciwko propozycji Rady Ekonomicznej uwzględnienia przy zamierzonej reformie cen środków produkcji poziomu oraz relacji cen światowych podstawowych surowców, występujących samodzielnie w obrocie międzynarodowym. Stanowisko prof. Minca w tej ostatniej sprawie wydaje mi się słuszne, pragnęłbym natomiast podjąć polemikę z poprzednio wymienionymi tezami.

Jednym z węzłowych zagadnień polityki cen — a także toczącej się dyskusji o cenach — jest problem podstawy, z jakiej przy ustalaniu cen należy wychodzić. Istniejąca dotąd praktyka upatruje tę podstawę (przynajmniej w zakresie cen środków produkcji) w kosztach produkcji powiększonych o nieznaczny zysk, liczony w stosunku procentowym do tychże kosztów. Propozycja Rady Ekonomicznej rozumie w ten sposób, że mierzącą do wykorzystania w państwowej polityce cen procentu liczonego od całości zastosowanych środków trwałych oraz obrotowych. Procent ten oraz zysk liczony w określonym stosunku do funduszu plac plus koszty z produkcji przedsiębiorstw socjalistycznych tworzyłby coś w rodzaju socjalistycznej „ceny produkcji”. Ceny produkcji stałyby się nową podstawą, z której należałoby wychodzić przy ustalaniu cen zarówno środków produkcji jak i środków spożycia.

Nie należy się ludzi, że powyższa koncepcja (ceny produkcji) czy też jakakolwiek inna (np. wartości) zastąpi politykę cen. Nie ma i być nie może takiego schematu, który by rozwiązywał wszystkie konkretne problemy stojące przed państwową polityką cen. Gdyby zresztą taki schemat mógł w ogóle istnieć, polityka cen byłaby zbędna. Z drugiej jednak strony nie wolno nie doceniać praktycznej roli, jaką mogłaby odegrać socjalistyczna cena produkcji jako punkt wyjścia racjonalnej polityki cen. Ową punkt wyjścia ma wskazywać tylko teoria wartości zastosowana do warunków gospodarki socjalistycznej. Dopiero na podstawie ustalenia najogólniejszych związków, jakie zachodzą między ceną i wartością w gospodarce socjalistycznej może i powinna się rozwijać teoria cen, dająca bezpośrednie, praktyczne wytyczne dla polityki cen. W związku z tym wydaje się niefortunne przeciwstawienie, jak to czyni prof. Minc, jawnych i scharakteryzowanych z zakresu teorii dociekaniom z zakresu teorii cen.

Jaki w istocie rzeczy powinien być związek cen z wartością w naszej gospodarce? W kapitalizmie ośrodkiem wahań cen rynkowych jest cena produkcji, nie wartość. Modyfikacja prawa wartości w prawo ceny produkcji wywołana jest konkurencją kapitalistyczną, która doprowadza do wyrównania stopy zysku w różnych gałęziach produkcji. Czy istnieje potrzeba zachowania ceny produkcji w gospodarce socjalistycznej mimo likwidacji stosunków kapitalistycznych i kapitalistycznej konkurencji? Moim zdaniem, istnieje, gdyż także w socjalizmie towary o jednakowej wartości są wytwarzane przy pomocy nakładów („kapitałów”) o różnej wielkości w wyniku różnic w ich składzie ograniczonym oraz czasie obrotu. Wobec tego ceny tych towarów nie powinny być ustalone na poziomie wartości, lecz ceny produkcji, uwzględniającej wielkość całego zastosowanego, a nie tylko spożytego „kapitału”. Podstawowym instrumentem przejścia od wartości do ceny produkcji w gospodarce so-

cialistycznej mógłby się stać procent od całości zastosowanych środków (dla uproszczenia wywołów przez procent rozumie się tutaj i w dalszej części artykułu cały produkt dodatkowy, niezależnie od tego, że w praktyce musiałoby nastąpić rozbić tego produktu na dwie przynajmniej części: procent i zysk przedsiębiorstwa).

PROCENT I KOSZTY PRODUKCJI W GOSPODARCE SOCJALISTYCZNEJ

Tezy Rady Ekonomicznej nie precyzują dokładnie, czy procent ma być wliczony do kosztów produkcji, czy też ma być uwzględniany przy rachunku wyników przedsiębiorstw socjalistycznych. Gdyby to ostatnie rozwiązanie zostało przyjęte, argumenty prof. Minca wymierzone przeciwko wliczeniu procentu do kosztów produkcji straciłyby aktualność. Z drugiej strony można by także bronić koncepcji wliczania procentu do kosztów produkcji, gdyby to się okazało technicznie bardziej celowe. W tym wypadku należałoby jedynie zdawać sobie dokładnie sprawę z tego, iż nie wszystkie elementy tak rozumianych kosztów reprezentują tę samą treść ekonomiczną. W szczególności należałoby odróżnić nakłady pracy żywej (płace) oraz uprzedmiotowionej (surowce, materiały, amortyzacja itp.), z jednej strony, oraz procent stanowiący formę produktu dodatkowego, z drugiej strony. Podobnie postępujemy przy analizie kosztów przedsiębiorstw kapitalistycznych, o ile stosują one kapitały pożyczone i odpłatą z tego tytułu odpowiedni procent.

Problem uwzględniania procentu w rachunku wyników (co wydaje mi się słuszniejsze) lub w rachunku kosztów ma w dużym stopniu charakter techniczny. Podstawowe znaczenie ekonomiczne ma natomiast występujący w obu tych rozważaniach i podniesiony przez prof. Minca związek procentu i ceny.

Prof. Minc stwierdza, iż procent wliczany do kosztów produkcji (czy też doliczany do tych kosztów) będzie określał cenę, podczas gdy cena winna określać wysokość procentu (i innych form produktu do-

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

Piotrkowska włóknianka



SWINSKIE PARADOKSY

WŁADYSŁAW WOŁOCH

Ostatnio, na łamach prasy ukazały się sensacyjne wiadomości (wołające o pomstę do nieba) o dużych upadkach trzody chlewnej, transportowanej do zakładów mięsnych. Nie są to wypadki sporadyczne i odosobnione. Wysoka temperatura w miesiącu lipcu, brak transportu, bezduszność wózków kolejowych i obsługi transportu (koniejenci), a co najważniejsze zakorkowanie rynku mięsnego, doprowadza do tego, że brak pomieszczenia w chłodniach zmusza zakłady mięsne do przetrzymywania trzody chlewnej przeznaczanej do uboju po kilka lub kilkanaście dni w warunkach nie przystosowanych przynajmniej do elementarnych wymogów hodowlanych. Ponadto Przedsiębiorstwa Obrótu Zwierzętami Rzeźnymi, nie mając możliwości rozładowania tuczników na miejscu, transportują je w dni upalne na dalekie odległości. Nie też dziwnego, że w takich warunkach i przy takich trudnościach ponosimy duże straty w mięsie i tłuszczu przydatnym do spożycia. Pędnięcie 230 sztuk tuczników w jednym tylko transporcie z Łukowa do Katowic naraziło Państwo na straty sięgające ponad pół miliona złotych.

Ostatnio niektóre przedsiębiorstwa obrótu zwierzętami rzeźnymi wstrzymały z konieczności zakup trzody chlewnej na okres dwóch tygodni, gdyż tylko w ten sposób mogą po części rozwiązać trudny problem rozładowania żywca.

Jest to, wprawdzie obiektywna konieczność, do której musimy się uciec niektóre przedsiębiorstwa skup; z drugiej jednak strony przez takie załatwienie sprawy ponoszą straty hodowcy-produkcji. Lipiec i początek sierpnia to okres, w którym poza paszą zieloną brak innych pasz podstawowych w żywieniu tuczników, takich jak ziemniaki i sruła zboża. Przetrzymywanie tuczniaka na paszy głodowej w okresie dwóch tygodni przyczyni się do obniżenia wagi pierwotnej tuczniaka oraz — co najważniejsze — jakości tuczniaka znacznie się pogorszy. Na tym traci bezpośrednio rolnik-hodowca i cała gospodarka narodowa.

Gdzie tkwi źródło tych strat i trudności w zakresie obrótu żywca — trzody chlewnej i kto za ten stan rzeczy ponosi odpowiedzialność? Prawda jest, że władze kolejowe nie dołożyły wszelkich starań dla usprawnienia transportu żywca w okresie silnych upałów. Nie bez winy są przedsiębiorstwa obrótu zwierzętami rzeźnymi, które nie pomyślały wcześniej o rozwiązaniu tych trudności we własnym zakresie przy pomocy wojewódzkich wydziałów handlu, które mogły zagrozić sytuację po części uratować przez większy przydział wieprzowiny dla wsi, mniejszych miast i miasteczek. Trudno to zjawisko na rynku mięsnym nazwać zaskoczeniem, gdyż w roku ubiegłym trudności te w tym samym okresie były mało mniejsze.

Zjawisko nadprodukcji trzody chlewnej w okresie zimowym nie wynika z przyczyn obiektywnych, nie ma tu przypadku żywiołowości ze strony gospodarki drobnostawowej. Przeciwnie, zjawisko to wynika z nieprzemyślanego planowania władz centralnych i zastosowania bodźców ekonomicznych w tym zakresie. Przydziały paszy treściwej o 1 kg wyższe za każdy kilogram dostarczonego żywca trzody chlewnej w lipcu i sierpniu w porównaniu do okresu wiosennego niewątpliwie skłaniają rolników do przetrzymywania tuczników do lata. Gdyby ewentualnie zasłała potrzeba zastosowania niewielkich (znacznie mniejszych) bodźców ekonomicznych w miesiącach letnich, to sprawa nadprodukcji żywca w tym okresie może być zahamowana przez planową kontrakcję trzody chlewnej, jaką prowadzimy od kilku lat. Niestety, plany kontrakcji trzody chlewnej na lipiec i sierpień, jak również realizacja ponadplanowa kontrakcji, nie są ograniczane. Na lipiec 1957 r. w Centrali Obrótu Zwierzętami Rzeźnymi w Lublinie, plan kontrakcji trzody chlewnej wynosił 37 000 sztuk tuczników trzody chlewnej, zakontaktuowano 78 000 sztuk. Plan kontrakcji na sierpień wykonano w 230 proc. Jeśli plany kontrakcji zostają wykonywane żywiołowo, to bezwzględnie nie mogą one służyć państwu jako czynnik regulujący obrót towarowy.

Drugim problemem w produkcji trzody chlewnej jest właściwe ukie-

runkowanie chowu świń przystosowane do potrzeb konsumpcyjnych. Krótkowzroczne planowanie, bez perspektyw na przyszłość, doprowadza do tego, że mamy nadal brak w zaopatrzeniu ludności w mięso, podczas gdy z drugiej strony mamy nadprodukcję tłuszczu w postaci słoniny. Jest to nadprodukcja szkodliwa wynikająca z wadliwej dystrybucji. Mamy wprawdzie zaopatrzenie magazynów słoniny, prowadzimy eksport dumpingowy smalcu. Za 10 kg smalcu otrzymujemy mniej więcej tyle co za 1 kg wieprzowiny w postaci bekonów. Słonina w tej chwili staje się zmorem magazynów tłuszczowych, podczas gdy wiejskie sklepy spółdzielcze nie mają żadnego zaopatrzenia w tym zakresie, szczególnie w okresie zimy. Dalsza rewizja ceny słoniny i jej niższa wypłynęła z pewnością na zmianę w wyżywieniu ludności miejskiej. Tym samym zmniejsziliby się spożycie masła, którego odczuwamy brak.

Zwiększenie wyrobu prostych i tanich kiełbas, przy wyrobie których potrzeba dużo tłuszczu, również rozwiązałoby po części problem jego nadprodukcji.

Jeśli niezmienny dogmatyzm nie pozwoli na reformy dystrybucji wieprzowiny, to pozostają do wyboru dwa kierunki działania: zmniejszyć produkcję trzody chlewnej, co w naszych warunkach ekonomicznych jest nie do pomyślenia, lub też przestawić produkcję trzody chlewnej z typu słoninowo-mięsnej na typ mięsny. Wybór kierunku trzody chlewnej w typie mięsnym, o określonej wadze (110—120 kg) nie tylko zlikwiduje dysproporcję między mięsem a tłuszczem, lecz poważnie obniży koszty produkcji trzody chlewnej. Doświadczania żywieniowe wykazały bowiem, że najtańszy i najbardziej opłacalny dla rolnika jest tucznik w wadze 100—120 kg. Niestety, nasz rolnik od dawna przyzwyczajony jest do produkcji tuczni o wadze 150—200 kg. Jego ambicją jest wyhodować wieprza w pierwszej klasie, tym bardziej, że cennik na świnię jest tak ustawiony, że za kilogram żywca sztuk słoninowych zaliczanych do pierwszej lub drugiej klasy, rolnik otrzymuje znacznie wyższą cenę, niż za kilogram żywca w typie mięsnym, który zalicza się do piątej klasy. W pojęciu naszego rolnika w piątej klasie mogą sprzedawać żywce

wylącznie hodowcy-partacze, wyrobnicy wiejszy lub ci, którzy zostali dotknięci wypadkami losowymi lub klęską żywiołową.

Podwyższenie cen za żywce w typie mięsnym kosztem sztuk słoninowych, skłoni rolników do zmiany kierunku produkcji trzody chlewnej. Przy zmianie klas, sztuki mięsne powinny się znaleźć w drugiej klasie, a nie jak dotychczas w piątej. Interwencja na drodze kontraktacji może osiągnąć pożądaną zamierzenia. W tym zakresie kontraktacja dla rolników kontraktując powinna się prowadzić wyłącznie dla sztuk mięsnych, czy też mięsno-słoninowych, w nieprzekraczającej wadze 120 kg.

Jeszcze kilka słów na temat organizacji zbytu produktów rzeźnych. Istnieje u nas sytuacja, na skutek której piętrzą się trudności w zbycie. W województwach wschodnich naszego kraju ilość chłodziń przy zakładach mięsnych jest znikomą w porównaniu do wysokiej produkcji materiału rzeźnego. Województwa wschodnie zmuszone są wysyłać żywce do mięsnych zakładów śląskich na daleką odległość. W najbardziej normalnych warunkach przy tak dalekim transporcie następuje ubytek wagi na każdej sztuce do dziesięciu kilogramów. Jeśli tę liczbę pomnożymy przez ilość przewożonych sztuk żywych, to wtedy będziemy mieli orientację, jak wielkie straty ponosi nasza gospodarka narodowa z tytułu braku chłodziń. A tymczasem w Zamościu chłodnię mięsna buduje się 9 lat i prawdopodobnie jeszcze kilka lat upłynie, zanim budowa chłodziń zostanie zakończona. Lubelskie Zakłady Mięsne posiadają chłodnię prowizoryczną, w której temperatura w okresie lata waha się od 10 do 18 stopni C powyżej zera.

Nie można przejść do porządku dziennego nad dotychczasowym transportem kolejowym przy przewożeniu żywca i mięsa. Nie odosobnione są wypadki, że transport żywych tuczonych świń z Lublina do Katowic trwa 5—7 dni. Podobnie transport mięsa z Bytomia do chłodziń zamojskiej trwa 7 dni, w dodatku — w uszkodzonej, starego typu lodowce. Nic dziwnego, że mięso z tego transportu nie na-

dało się do spożycia. Zdarzały się i takie wypadki, że transport mięsa z Lublina do Zamościa (100 km) pociągami PKP trwał 3 dni. Zdarzyły się w swoim czasie i takie rażące wypadki, że transport mięsa z Kielc do przeznaczenia dla Cpoła trafił do Warszawy.

Jeśli transport mięsa odbywa się w nowoczesnych wagonach chłodniowych, to jeszcze pół biedy, natomiast tak dalece przewlekły transport żywca przez PKP w naszych warunkach jest nie do pomysłenia.

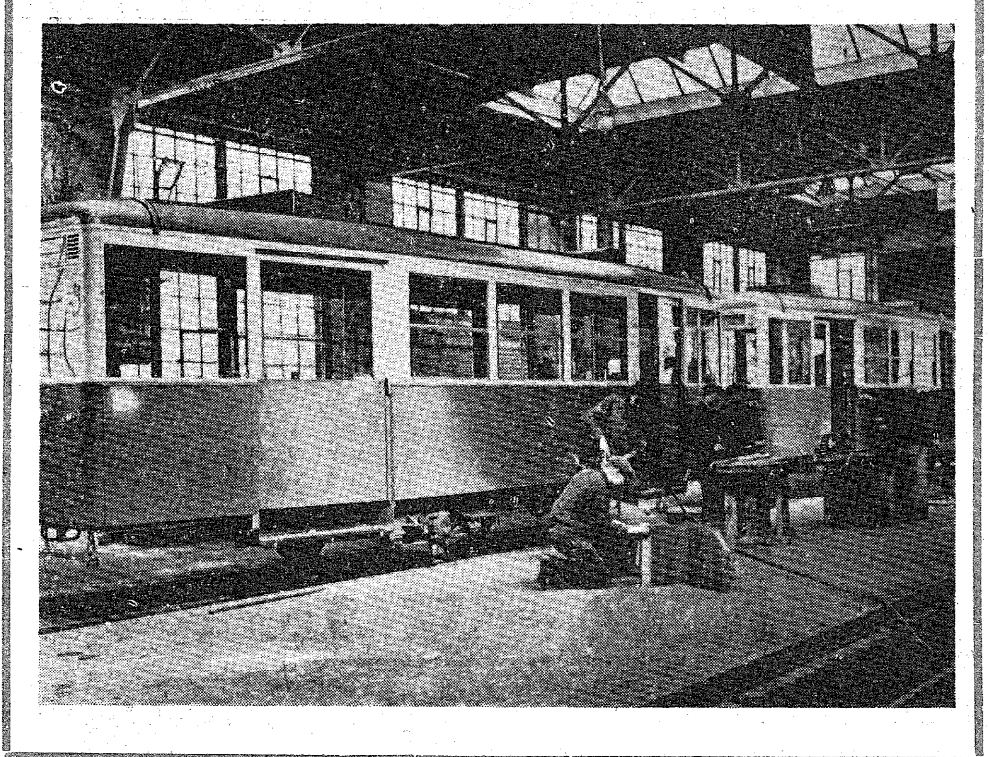
Transport żywca — trzody chlewnej — nie powinien trwać dłużej niż przewóz ludzi pociągami osobowymi. Nawet w naszych warunkach przedwojennych transport żywca z Pińska do Warszawy (400 km) trwał nie dłużej jak 8 godzin.

Nie można i tego ukrywać, że transportowany żywce w dłuższym okresie czasu przeżywa przymusową głodówkę, a w szczególności w okresie lata pozbawiony jest wody, której tak dużo potrzebuje. Wprawdzie konwojent ma nakaz i obowiązek pojenia świń, jednak praktycznie biorąc, bardzo często możliwości konwojenta są tu ograniczone. Na stacjach węzłowych bar-

dzo często pociąg towarowy z trzodą chlewną znajduje się na ostatnim lub przedostatnim torze. W tym wypadku konwojent dla 100 świń musi dostarczyć 50 wiader wody ze studni, często dość odległej. W krajach o większej zaradności gospodarczej, na kolejowych stacjach węzłowych w okresie lata, woda doprowadzana jest do wagonów przy pomocy rurowciągu umieszczonego pod torami.

Sądze, że te skromne uwagi wskazują wyraźnie, iż czas już skończyć z biernością w tej dziedzinie, czas wyeliminować olbrzymie straty i rozsądnie rozwiązać sprawy związane z produkcją hodowlaną.

W eksperymencie „Konstalu“



PODATKI TRZEBA PŁAĆ...

Jeśli przeanalizować sytuację gospodarczą jaką się u nas wytworzyła u schyłku pierwszego półrocza, to należy stwierdzić, że nie jest ona lekka. Na jednym jednak — i to na bardzo ważnym odcinku — kształtuje się ona pomyślnie. Stosunkowo wysokie są mianowicie wpływy budżetowe, zwłaszcza jeśli chodzi o pozycję dotyczącą gospodarki społecznej.

Wpływy budżetowe dość znacznie przekraczają poziom wpływów z analogicznego okresu roku ubiegłego, i to zarówno w liczbach bezwzględnych jak i procentowych wskaźnikach wykonania budżetu rocznego. Podczas gdy w I półroczu 1956 r. suma wszystkich wpływów budżetowych wyniosła 68,7 mld zł, czyli 47,8% rocznego budżetu, w roku bieżącym okres ten przyniósł 72,1 mld zł, co stanowi 51,1% sumy preliminarzowej na cały rok. Na szczególne podkreślenie zasługuje przy tym suma 28,8 mld zł (56,7% preliminarza rocznego), jaka wpłynęła do kas państwowych z tytułu podatku obrotowego i od operacji nieciarowych z gospodarki społecznej, co stanowi znaczny wzrost w stosunku do 26,4 mld zł (48,1% kwoty rocznej) wpływów z tego samego źródła w I półroczu 1956 r.

Nie wszystkie jednak pozycje wpływów budżetowych wykazują wzrost. Jest taka pozycja, wprawdzie w stosunku do całości budżetu dość marginalna, która wcale się nie zwiększyła, a właściwie utrzymuje się na niższym niż w roku ubiegłym poziomie. Mowa tutaj o podatkach z gospodarki nieuspołeczniczonej.

Z tego źródła wpłynęło w pierwszym półroczu 2,5 mld zł, a więc ściśle to samo co w tym samym okresie roku ubiegłego. W tej liczbie podatek gruntowy wykazuje nieznaczny spadek z 1760 mln zł do 1725 mln zł, a wpływy z podatku obrotowego i dochodowego spadły z 690 mln zł w I półroczu 1956 r. do 685 mln zł w roku bieżącym. Co dziwniejsze, spadek ten zaznaczył się, mimo że w roku bieżącym ściągnięto większą niż w roku ubiegłym kwotę preliminarzowaną z tego źródła kwoty rocznej — 51,9% wobec 49,5% w I półroczu 1956 roku.

Wynika to stąd, że budżet 1957 roku przewidywał dla sektora nieuspołeczniczonego o 4% niższą kwotę podatków od sumy ściągniętej w

roku ubiegłym. Tak np. w roku ubiegłym ściągnięto 1334 mln zł podatku obrotowego i dochodowego, a na rok bieżący preliminarzowano tylko 1200 mln zł. Wydaje się to co najmniej niezrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę, że zgodnie z polityką gospodarczą państwa w roku bieżącym miał nastąpić — i rzeczywiście nastąpił — poważny rozwój przemysłu i handlu prywatnego oraz indywidualnego rzemiosła.

Z charakterystyki tej powinnoby wynikać, że wskutek widocznego zlagodzenia polityki fiskalnej w stosunku do drobnostawowej gospodarki chłopskiej i w stosunku do prywatnych przedsiębiorców — wyniesione podatki wpływają do kas państwowych bez większych oporów. Tymczasem rzecz przedstawia się zgoła inaczej. Zaległości podatkowe rosną dość szybko i osiągnęły ostatnio sumę przekraczającą 4 miliardy złotych. W samym tylko podatku gruntowym zaległości wyniosły 1,3 mld zł, a w podatku obrotowym i dochodowym (wszystko oczywiście w ramach gospodarki nieuspołeczniczonej) — 1250 mln zł. Ponadto około 900 mln złotych zaległości podatków od wojennego wzbogacenia się, a na resztę składają się drobniejsze kwoty innych podatków. Ogółem zaś, jeśli do tego wszystkiego doliczyć zaległości z tytułu innych opłat na rzecz Skarbu Państwa (np. wpłat na Fundusz Ziemi, dla których zaległości sięgają sumy 1,9 mld zł), zaległe pretensje państwa do gospodarki nieuspołeczniczonej przekraczają sumę 7 miliardów złotych.

Jak to się stało, że dopuszczono do takiego stanu, iż same tylko zaległości podatkowe wyniosły równowartość blisko rocznego wymiaru tych podatków? A trzeba dodać, że ta wysoka suma nie powstała w ostatnim czasie, lecz złożyły się na nią stopniowo, z roku na rok rosnące kwoty nieściągniętych podatków. Tymczasem wszystkim się zdawało, że władze fiskalne odznaczały się przez szereg lat wyjątkową surowością w stosunku do tzw. inicjatyw prywatnej.

Odpowiedź na postawione pytanie nie jest prosta. Moim zdaniem, źródło tego stanu dopatrywać się należy w wadliwej polityce fiskalnej. Zamiast bowiem stosować sprawiedliwe kryteria przy wymiarze podatków i nie dopuszczać do jakichkolwiek wyskoków powodujących

ruinę niektórych podatników, natomiast największy nacisk kłaść na bezwzględne ściąganie raz już wymierzonych podatków — przez wiele lat postępowano wręcz odwrotnie.

Sytuację służby podatkowej utrudniały jeszcze różne posunięcia likwidujące szereg uprawnień instytucjonalnych, istniejących w okresie przedwojennym i w pierwszych latach po wyzwoleniu.

Obowiązujące przed wojną przepisy i prawa podatkowe nie uległy zmianie, jednakże bez zmiany przepisów a tylko w formie polecenia Ministerstwa Finansów, w praktyce skasowano działalność służby ochrony skarbowej, której zadaniem była walka z przestępstwami podatkowymi i dewizowymi. Funkcje te zostały przekazane organom Milicji Obywatelskiej, zaś ochrona skarbową stała się aparatem rewizyjno-kontrolnym. Ten ostatni otrzymał całkiem inne zadania, zbliżone zresztą do zadań wykonywanych przez aparat Ministerstwa Kontroli Państwowej, z tą tylko różnicą, że badał kontrolowane przez siebie przedsiębiorstwa państwowe z punktu widzenia finansów, np. przestrzegania dyscypliny płac. W ślad za tym zlikwidowano działające przy dawnych Izbach Skarbowych biura informacyjne, których zadaniem było gromadzenie nadchodzących od firm promujących księgi handlowe informacji o dokonaniach przez podatników transakcjach. Informacje te stanowiły podstawę dowodową w wymiaru podatków. Tak więc dobrowolnie zrezygnowano z szeregu instrumentów, które znakomicie pomagały do sprawiedliwego wymiaru podatkowego.

Trudno zrozumieć powody, jakie kierowały ówczesnym kierownictwem Ministerstwa Finansów w podjęciu decyzji o zaniechaniu korzystania z wszystkich tych pozytywnych instytucji. Okoliczność, że wobec zredukowania do minimum rozmiarów działalności w kraju, tzw. inicjatyw prywatnej nie ma sensu utrzymywanie biur informacyjnych i sprawowanie funkcji ściągania przestępstw gospodarczych, nie wydaje się dostateczną przesłanką. Należy przypuszczać, że działała tutaj na gminie wówczas stosowana zasada mechanicznego przejmowania doświadczeń radzieckich. Nie było takich instytucji w ZSRR — nie wolno, aby istniały one u nas.

Sytuacja taka sprzyjała przestęp-

czym działalności elementów, które po zmianie polityki w stosunku do prywatnego handlu i rzemiosła zabierały się energicznie do „nasycań” rynku masą towarową. Nie jest tajemnicą, że obok uczciwych rzemieślników i solidnych przedsiębiorców wystąpiły na scenę osoby, które przedsiębiorstwa swoje opierały na działalności spekulacyjnej, jeśli nie przestępczej. W ślad za spekulacją idzie oczywiście zatajanie obrotów i dochodów podlegających opodatkowaniu. Stąd zaś już prosta droga do niesprawiedliwości podatkowej — niskie wymiary dla jednych kosztów innych.

Należy więc tylko przyklasnąć podjętej przez rząd inicjatywie, której skutkiem była uchwała Rady Ministrów reaktywująca działalność aparatu dawnej ochrony skarbowej i potwierdzająca jej funkcje istniejącemu w ramach Ministerstwa Finansów aparatowi kontrolno-rewizyjnemu. Do tego, aby aparat ten mógł skutecznie prowadzić walkę z przejawami zatajania obrotów i dochodów, z przestępstwami podatkowymi i dewizowymi, został on wyposażony w daleko idące uprawnienia.

Równocześnie zamierza się przywrócić do życia istniejące do 1950 roku biura informacyjne, które waleń pomogą wydziałom finansowym do sprawiedliwego wymiaru podatków. Przestanie być również martwą literą prawa przepis mówiący o uprawnieniu władz podatkowych do wymierzania podatku dochodowego na podstawie tzw. znamion zewnętrznych, czyli na podstawie oceny trybu życia podatnika (jeśli nie ma dowodów dla stwierdzenia jego rzeczywistych dochodów).

Przywrócenie wszystkich tych instytucji nie przedstawiało szczególnych trudności, gdyż opierały się one na ustawie sejmowej z 1923 r., która nigdy nie była uchylona.

Inaczej jednak przedstawia się sprawa z innym problemem podatkowym, który próbuje się obecnie rozwiązać. Chodzi tutaj o wprowadzenie nowego podatku, który nazwane zostało podatkiem wyrównawczym. Istota jego polega na dwóch przesłankach: na zasadzie kumulowania dochodów podatników ze wszystkich źródeł i kumulowania dochodów małżonków oraz na dodatkowym opodatkowaniu skumulo-

wanych dochodów, jeśli przekraczają one sumę 8000 złotych miesięcznie. Zgodnie z projektem dekretu opodatkowanie dochodów płynących z gospodarki nieuspołeczniczonej (podatek dochodowy łącznie z podatkiem wyrównawczym) sięgać będzie 80% zamiast, jak dotychczas, 65%.

Zasada ta wydaje się słuszną. W kraju bowiem, gdzie ludność pracująca znajduje się ciągle jeszcze w ciężkim położeniu materialnym, gdzie gospodarka narodowa boryka się z poważnymi trudnościami — nie powinno być ludzi, którzy mogliby dysponować wielkimi, w naszych warunkach, dochodami.

Na tym nie kończą się jeszcze kroki podjęte przez Prezydium Rządu, mające na celu uzdrowienie gospodarki podatkowej. Pozostaje jeszcze do załatwienia sprawa uporządkowania zaległości w podatkach i innych opłatach, o których była tutaj mowa. Trzeba od razu powiedzieć, że nie łatwe będzie ściąganie tej stosunkowo wysokiej kwoty.

Niemniej jednak pewna część tych wszystkich zaległości jest z pewnością możliwa do ściągnięcia. Dlatego też Ministerstwo Finansów zamierza przeprowadzić akcję porządkowania zaległości podatkowych w dwóch kierunkach: umarzania nieściągalnych i energicznego egzekwowania tych podatków, które wymierzone były słusznie i sprawiedliwie, a dłużnicy są w możności ich zapłacenia.

Podjęte przez Ministerstwo Finansów kroki w kierunku uporządkowania niezdrowych stosunków między władzą podatkową a obywatelami obowiązującymi do ponoszenia ciężarów podatkowych spotka się z pewnością z aprobatą społeczeństwa. Opinia społeczna od dawna bowiem domaga się ukrócenia swawoli niektórych, oraz zresztą liczniejszych elementów spekulacyjnych — przy równoczesnym sprawiedliwym potraktowaniu tych kupców i rzemieślników, którzy rzetelną działalnością pragną z korzyścią dla gospodarki narodowej budować swoją własną egzystencję.

S. F.

Uwaga pracujący! Uwaga maturzyści szkoł ogólnokształcących!

Zaoczne Technikum Ekonomiczne przyjmuje zapisy na rok szkolny 1957/58 na semestr od 1 do V na Wydział:

1. Finansie przedsiębiorstw handlowych.
2. Planowanie obrotu towarowego.
3. Rachunkowość przedsiębiorstw przemysłowych i usługowych.
4. Finansie państwa.
5. Bankowy.
6. Skup i obrót artykułami rolnymi.

Warunki przyjęcia podaje sekretariat Technikum czynny codziennie w godz. 16-18, w Warszawie, ul. Szpitalna 5.

OGRANICZYĆ PRZYWILEJE CZY ZWIĘKSZYĆ UPRAWNIENIA

Przemysłowcy i socjaliści, powodując wreszcie duże trudności w budownictwie wiejskim, nie pozwalając z jednej strony na poprawę tragicznej w niektórych terenach (np. przyczółkowych) sytuacji mieszkaniowej na wsi, a z drugiej na budowę pomniejszych gospodarczych, hamując rozwój produkcji rolnej, przede wszystkim hodowlanej.

Niedobór tych materiałów ma poza tym jeszcze jeden wybitnie szkodliwy wpływ. Nie jest bowiem tajemnicą, że wzrost zarobków ludności wiejskiej i dochodów ludności wiejskiej grozi inflacją oraz że rząd czyni wielkie wysiłki, by do tego nie dopuścić w obronę interesów człowieka pracy.

Jeśli idzie o tereny wiejskie, to niewątpliwie istnieje tendencja do lokowania nadwyżek pieniężnych przede wszystkim w inwestycjach. Ta zdrowa tendencja, zmniejszająca napór na artykuły konsumpcyjne i przyczyniająca się do wzmocnienia i uzdrowienia gospodarki wiejskiej, nie może być jednak w pełni zrealizowana z powodu niedostatecznej podaży materiałów budowlanych.

Wniosek stąd bezsporny, potwierdzony zresztą wieloma obliczeniami — zwiększyć produkcję materiałów budowlanych. Praktycz-

nie biorąc, każda dodatkowa ilość materiałów budowlanych znajdzie odbiorcę, nie ma obawy o nadprodukcję.

Zrealizowanie jednak tego bezspornego wniosku i drogi ku temu wiodące są już bardziej wątpliwe. Chciałbym tu omówić jedną koncepcję, wysuniętą ostatnio przez poważnych ekonomistów.

Koncepcja ta w pewnym skrócie brzmi: Organizujmy małe, prymitywne cegielnie i wapienniki, o takich mniej więcej parametrach.

Cegielnie: roczna produkcja — 1,2 mln sztuk cegieł, zatrudnienie — 1 majster i 20 robotników, koszt inwestycyjny (piec do wypału typu Bocka) — 240 tys. zł, średnia płaca — 2 000 zł/mies., koszty własne — 500 zł/1000 szt., cena detaliczna — 880—960 zł/1000 szt.

Wapienniki: roczna produkcja — 3 000 ton, zatrudnienie — 1 majster i 8 robotników, koszt inwestycyjny (piec do wypału sztabowy) — 400 tys. zł, średnia płaca — 2 500 zł, koszt własny — 311 zł/tonę, cena detaliczna — 420 — 450 zł/tona.

Zakładając zorganizowanie 800 cegielni i 200 wapienników projektodawcy uzyskują następujące wskaźniki:

	wapno	cegla	razem
Produkcja roczna	600 tys. ton	720 mln szt.	—
Wartość produkcji (mln zł)	276,0	648,0	924,0
Zatrudnienia (tys. osób)	1,8	12,6	14,4
Koszt inwestycji (mln zł)	80,0	144,0	224,0
Koszt własny (mln zł)	186,6	360,0	546,6
Akumulacja brutto (mln zł)	89,4	288,0	377,4

Projektodawcy przewidują, że w ramach tej akcji producentami mo-

głoby zostać: spółdzielnie chłopów użytkowników, państwowe przed-

siębiorstwa budowlane, powiatowe i miejskie rady narodowe oraz przedsiębiorcy prywatni.

W pierwszej chwili trudno nie uznać całej tej tezy za słuszną. W ciągu krótkiego czasu (przewidziano lata 1957—1958) nastąpi wzrost produkcji cegły o ok. 25 proc., a wapna budowlanego o ok. 33 proc., rozwiąże się problem zatrudnienia dla blisko 15 tys. ludzi, osiągnie się dodatkową akumulację (niezależnie od jej podziału i kierunku) rzędu 400 mln zł, rynek zostanie zasłojony towarami o wartości blisko milarda złotych i to wszystko przy niesłychanie korzystnym wskaźniku efektywności inwestycji wynoszącym 242 zł na 1000 zł rocznej produkcji (przy normalnych inwestycjach w materiałach budowlanych

Wskaźnik efektywności wzrośnie wówczas do 446 zł, a więc będzie dwukrotnie lepszy, niż w poprzednim obliczeniu. Nie jest to jednak sprawą podstawową, przy czym można kwestionować zarówno jedno, jak i drugie wielkość. Natomiast sprawą zasadniczą są inne zagadnienia.

Średnia płaca robotników w przemyśle państwowym wapienniczym i ceramiki budowlanej kształtuje się na poziomie 1 400 — 1 450 zł miesięcznie. Projektodawcy, chcąc przypuszczalnie zachęcić robotników do pracy w nowo otwieranych zakładach i opierając się na obec-

STANISŁAW LEWIN

wskaźnik ten jest kilkakrotnie gorszy). Ponadto koncepcja przewiduje, że część kosztów pokryta będzie nie z funduszy państwowych.

Popularne powiedzenie „zbyt piękne, by było prawdziwe” — wydaje się bowiem — ma i tutaj zastosowanie. Nawet dość pobieżna analiza wykazuje szereg stron ujemnych.

Może najmniej ważnym zagadnieniem jest zbyt optymistyczne ustalenie wielkości zbiorczych. Oczywiście trudno jest ekonomicznie sprezytować sprawy nie określone jeszcze technicznie, ale według opinii fachowców należałoby raczej przyjąć następujące wielkości (w mln zł):

	Wapno	Cegla	Razem
koszt inwestycji	80	300	380
wartość produkcji	276	576	852
akumulacja	89	216	305

nych placach w przedsiębiorstwach prywatnych, zakładają place w wysokości 2 000 — 2 500 zł. Siłą rzeczy nasuwa się więc pytanie.

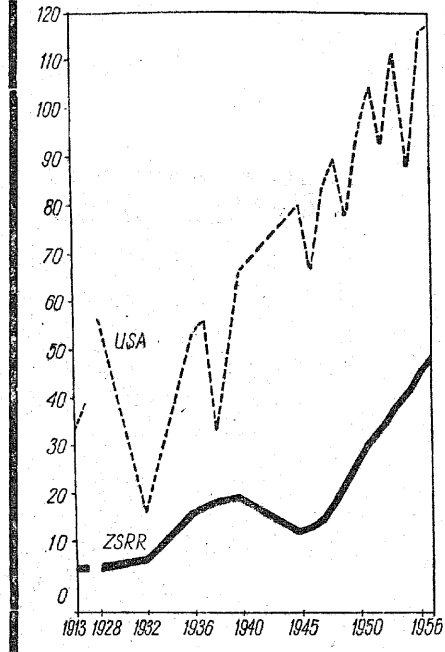
Czy słuszne jest stworzenie w tej samej gałęzi przemysłu, tylko w uzależnieniu od spraw organizacyjnych, rozpiętości plac w granicach 40 — 80 proc.?

Czy słuszne jest uznanie, że w przedsiębiorstwach prywatnych robotnik uzyskuje lepsze (i to w dużym stopniu) warunki pracy i jak to wpłynie na robotnika przemysłu kluczowego? Czy nie spowoduje to natychmiastowego odpływu robotników do nowo otwieranych zakładów prywatnych?

Z e s w i a t a

STAL

W USA produkcja stali w 1937 r. wynosiła 77 000 ton. Do 1938 r. wzrastała prawie równomiernie, w tym roku spadła do ok. 15 mln ton. W 1939 r. — 26,4 mln t. Następnie do 1941 r. z pewnymi wahaniami produkcja wzrastała. W 1941 roku nieco spadła, ale już w 1942 r. wynosiła ok. 50 mln ton. Po pewnych wahanach powojennych produkcja stali osiągnęła w 1948 r. ok. 56 mln t., w 1952 r. spadła do 16 mln ton (wielki kryzys). W następnych latach produkcja wzrastała, osiągając w 1957 r. poziom 122,8 mln t., spadając znów do ok. 110 mln ton w 1958 r. Poziomą produkcję z 1928 r. produkcja stali przekracza dopiero w okresie II wojny światowej (w 1945 r. — 80 mln t.). Najwyższy poziom w okresie wojny — 1944 — 89,6 mln t.). Dalszą dynamikę produkcji charakteryzuje wykres, uwzględniający wahania roczne.



Produkcja stali w mln ton

Rok	ZSRR	USA
1913	4,2	33,6
1928	10,0	56,0
1929	12,0	56,0
1930	16,3	52,6
1931	17,7	50,0
1932	16,06	33,6
1933	15,3	66,4
1934	12,2	80,0
1935	13,3	67,0
1936	14,5	84,0
1937	16,6	85,0
1938	23,4	75,5
1939	27,3	91,2
1940	31,4	104,0
1941	35,5	93,6
1942	38,1	111,2
1943	41,4	89,6
1944	45,2	116,4
1945	46,5	116,0

Jeśli chodzi o ZSRR, danejmy sprzed 1913 r. nie dysponujemy. Produkcja stali w ZSRR w 1928 r. nieznacznie przekracza poziom z 1913 r. Trzeba pamiętać, że piętnastoletnie to obejmujące okres wojny 1914—18 i wojny domowej. Do 1940 r. produkcja nieprzerwanie rosła, osiągając największy szok w latach 1932—1936, (wzrost z 3,9 do 15,3 mln ton). Okres drugiej wojny światowej przyniósł gwałtowny wzrost produkcji stali (średnio europejskiej znalazły się w zastęgu działań wojennych). Okres powojenny charakteryzuje się stałym, prawie równomiernym wzrostem. (Kilm)

KRYZYS DEWIZOWY W FRANCJI

Główną przyczyną francuskiego kryzysu dewizowego jest, jak niekiedy twierdzą przeciwnicy, twierdzi dziennik paryski „L'Aurore”. W październiku niegdy wycofano 100 mld franków pobranych z naszych za-

pasów złota, pisze dalej wspomniany dziennik, dalszy zasilek z tego samego źródła pozwolił może dotrzeć do końca roku, ale co dalej, zapytuje wymieniony dziennik. Opinie te, aczkolwiek produkcja przemysłowa Francji w I kwartale tego roku w stosunku do I kwartału 1956 roku wzrosła mniej więcej o 10 proc., a zbiorczy ogólnie w przeciwniejszym kierunku wypadły dobrze, podziela właściciel cała prasa francuska.

Na taką ocenę sytuacji przez prasę wpłynął ogromny wzrost deficytu we francuskim handlu zagranicznym, na którego pokrycie zostały zużyte wszelkie zapasy dewiz i złota, będące w rozporządzeniu skarbu państwa.

Wprawdzie deficyt w stosunkach handlowych z zagranicą jest w gospodarce francuskiej zjawiskiem dającym się nie od dzisiaj, ale dawniej nigdy nie występował on tak wyraźnie jak obecnie.

Przed wojną niedobory w handlu zagranicznym pokrywano bez trudu wpływami z eksportu niewielkiego, jak dochody od kapitałów inwestowanych zagranicą, dochód z turystyki itp.

Po wojnie zaś, kiedy na odbudowę zniszczonych dziedzin gospodarki narodowej Francja praktycznie zlikwidowała swoje inwestycje zagraniczne i kiedy znalazła się w 1947 roku w sytuacji niemal katastrofalnej przyszła pomoc amerykańska bądź w postaci bezpośredniej, bądź w formie pomocy wojkowej, czy też pomocy dla Indochin, bądź też w postaci zamówień „off-shore”. Pomoc ta, która w okresie od 1948 do 1956 roku dała Francji 6,8 mld dol., nie mogła być wpływy z inwestycji zagranicznych przesłoniła znów jedną z głównych bolączek gospodarki francuskiej — brak dewiz pochodzących z własnych źródeł gospodarczych, przesłoniła tym łatwiej, że saldo ujemne bilansu płatniczego strefy franka stało się zminimalizowało, a rok 1954 wykazał nawet nadwyżkę w wysokości 104 mld dol., która w 1955 roku wzrosła do 407 mld dol. Natomiast w 1956 roku sytuacja gwałtownie się pogorszyła i deficyt pojawił się ponownie wynosząc 835 mln dol., z czego 634 mln dol. przypada na Francję, a 151 mln dol. — na kraje zamorskie.

Niedobór bilansu płatniczego został spowodowany przede wszystkim deficytem bilansu handlowego, wynoszącym dla Francji 809 mln dol., podczas gdy w 1955 roku Francja miała dodatnie saldo handlowe w sumie 86 mln dol. Niewątpliwie na bilansie płatniczym Francji odbiło się w poważnym stopniu zmniejszenie bezpośredniej pomocy amerykańskiej, która z 537 mln dol. w 1955 roku spadła do 290 mln dol. w 1956 roku.

W roku 1957 sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu tym bardziej, że obecnie na żadną pomoc z zagranicy Francja liczyć nie może. Deficyt handlu zagranicznym w I kwartale 1958 roku sięgnął do 167,2 mld franków wobec 73,5 mld franków w tym samym okresie 1956 roku.

W tych warunkach odpływ złota i dewiz, według urzędowego oświadczenia w parlamencie, nabrali takiego nasilenia, iż w razie utrzymania się go w takim samym stopniu do końca roku, zagrożą do gospodarki narodowej Francji utratą 1300 mln dol. wobec 750 mln dol. w 1956 roku. Tymczasem rezerwy złota i dewiz nie wliczając zabezpieczenia kruszcowego Banku Francji na dzień 30 kwietnia 1957 roku wyniosły ogółem około 200 mln dol.

Ażby nie dopuścić do załamania się kursu franka, rząd francuski w październiku 1956 roku uzyskał od Międzynarodowego Funduszu Monetarnego pożyczkę w sumie 282,5 mln dol., której ostatnią ratę w wysokości 42,5 mln dol. podjęto dnia 14 czerwca.

Istotą zatem obecnego kryzysu we Francji polega na tym, że Francja kupuje za granicą więcej niż sprzedaje, czyli — jak się mówi popularnie — żyje ponad stan. Trzeba więc zmniejszyć konsumpcję produktów importowanych oraz produktów, które mogą być eksportowane. I tutaj opinia francuska, jak podkreśla „Le Monde”, nie docenia wpływu wojny w Algierze na stan zapasów dewiz. Wojna w Algierze bowiem pochłania dewizy nie tylko w Imperie, ale również w tych towarach, które zostają zużyte przez nią zamiast iść na eksport.

Zdawałoby się więc, że w poszukiwaniu dróg do przełamania obecnego kryzysu dewizowego rząd francuski rozpocznie swoją akcję od zakończenia wojny w Algierze. Tymczasem, jak wynika z doniesień APF, głównym przedmiotem zainteresowań rządu jest sprawa zabezpieczenia 600 mld franków w projekcie budżetu państwowego na 1958 rok, wniesionym przez ministra finansów Galliarda. „Oszczędność” ta jest dosyć swoistego charakteru, gdyż ma tylko zahamować w pewnym stopniu wzrost wydatków. Fundusz obowiązuje w 1957 roku przewiduje w wydatkach 4858 mld franków, a budżetu zgłoszone przez poszczególne resorty rządowe na 1958 rok dochodzą blisko do 5.993 mld franków. „Oszczędność” Galliarda sprowa-

dzają się do obciążenia zgłoszonych żądań o 650 mld franków. Ministrowi finansów chodzi o to, aby budżet w wydatkach nie przekroczył kwoty 5273 mld franków, a zatem „oszczędnościowy” budżet Galliarda na 1958 rok byłby o 400 mld dol. większy od budżetu tegorocznego.

Oszczędności Galliarda dotyczą głównie ministerstw wojny i oświaty oraz miały objąć także ministerstwo spraw socjalnych.

Ministerstwo oświaty wyraziło zgodę na cięcie bez sprzeciwu.

Ministerstwo wojny po długich targach zgodziło się zmniejszyć swoje żądania z 1509 mln na 1.399 mln franków przez skrócenie czasu faktycznej służby wojskowej z 26—28 miesięcy do ustawowych 24 miesięcy oraz ograniczyć produkcję ciężkiego sprzętu, np. czołgów. Skrócenie czasu służby wojskowej umożliwił powrót do produkcji około 150 tys. ludzi. Ma to ważne znaczenie dla gospodarki narodowej ze względu na występujące zjawisko braku rąk do pracy.

Natomiast próba ze strony Galliarda cofnięcia zasilek dla ubezpieczalni społecznej, szacowanych na 60—70 mld franków rocznie, wywołała ostrą reakcję w łonie rządu. Minister spraw socjalnych Gazier, reprezentant socjalistów, zagroził podaniem się do dymisji. W konsekwencji zaś ustąpienie Gaziera spowodowałoby wyjście z rządu wszystkich socjalistów i kryzys rządowy, do którego premier Bourges-Maunoury nie mógł dopuścić. W rezultacie brakujące jeszcze 50 mld franków do zakreślonych przez Galliarda sumy 600 mld franków miały być uzyskane w drodze podwyższenia przeliczeń wszystkich pozycji budżetowych.

W jakim stopniu cięcia budżetowe Galliarda, szczególnie w preliminarzu wojskowym, są realne — trudno w tej chwili na to pytanie odpowiedzieć, ale nawet w razie nieprzekroczenia preliminarzowych sum uzyskane oszczędności sprawy zrównoważenia budżetu a tym bardziej kwestii bilansu płatniczego nie rozwiązują. Dążeniem Galliarda jest ograniczenie niedoboru budżetowego w 1958 roku do 835 mld franków wobec 833 mld franków przypuszczalnego deficytu w 1957 roku.

Na razie jednak Francja przeżywa nową falę drożyzny. Dnia 29 lipca ogłoszono dekret w sprawie zlikwidowania państwowej subwencji dla gazu, co oznacza podwyżkę cen gazu do użytku domowego z dniem 1 sierpnia o 20 proc. w okręgu paryskim i o 10 proc. — w innych częściach Francji. Z dniem 1 sierpnia wchodzi również w życie podwyżka cen na mleko o 2 franki na litrze. Wskaźnik zaś cen 23 artykułów konsumpcyjnych rodzinnych, na którego podstawie oblicza się zagrożenie minimum płacy, przekroczył w lipcu 150 punktów, w związku z czym rząd dnia 3 sierpnia postanowił podnieść minimum płacy robotniczej ze 126 franków na 133 franki za godzinę pracy.

W celu zaś zmniejszenia konsumpcji wewnętrznej rząd uchwalił podniesienie podatków z dniem 1 sierpnia na 24 różne artykuły, jak białutera, permyum, futra, dywany, samochody, aparaty radiowe i telewizyjne, patelnie, aparaty fotograficzne, zegarki, sprzęt sportowy, zabawki, niektóre artykuły żywnościowe itp. Ma to być początek walki o zmniejszenie konsumpcji wewnętrznej i o równowagę bilansu płatniczego. (M)

CZY ŚWIATU ZAGRAŻA KRYZYS WALUTOWY

Amerkański ekspert od spraw walutowych, Franz Pick dokonał ostatnio analizy obciążenia pieniężnego w 35 krajach, stwierdzając, że „niektóre” rosnące wzniołe wartości używane na światowe waluty w wartościach około 40 walut, obciążeniowych około 2,3 ludności świata. Są one przedstawiane do celów dewaluacji. Do „mocnych” walut, zaniemienia Picka należą: dolar amerykański i amerykański, belgijski frank, zachodnio-niemiecka marka, szwajcarski frank, holenderski gulden i szwajcarski frank.

Świat — kontynuuje Pick — znajduje się w przeddzień „ery ziklicznej deprecjacji walut”, obejmującej swym zasięgiem całą kulę ziemską, zarówno kraje kapitalistyczne jak i kraje socjalistyczne.

W kapitalistycznym sektorze globalnego pieniądza stracił wartość w następstwie zbioru o utrzymanie pełnego zatrudnienia ludności. Metoda ta została w pełni zaakceptowana, przynajmniej teoretycznie. Chronia ona ustawodawców przed ryzykiem bezrobocia. W krajach socjalistycznych wartość walut i obciążeniowa ludność zmniejsza się, jeśli miały być realizowane nieekonomiczne plany 5-letnie, jeśli miały być utrzymana duża równowaga budżetowa.

Władze skarbowe w różnych krajach dokonywały wielkich wysiłków, aby przeciwdziałać tej tendencji. Jedynie Niemcy zachowały i szwajcarska waluta wewnętrzną. We wszystkich innych krajach wiele mówiono na ten temat, ale mało zrobiono. (W)

Czy nadwyżka produkcji uzyskana w wyniku uruchomienia nowych zakładów nie spowoduje odpowiedniego zmniejszenia w zakładach dawnych — w związku z brakiem siły roboczej?

Czy istnieje prawna i finansowa możliwość odpowiedniego polepszenia plac w przemyśle kluczowym i terenowym i jaki będzie tego skutek?

Sprawa wygląda paradoksalnie. Przedsiębiorstwo prywatne względnie państwowe pracujące w ramach produkcji ubocznej może sobie pozwolić, by pracować w technicznie gorszych warunkach, mieć często wyższe koszty paliwa (ze względu na odległość od stacji i brak bocznic kolejowej) a mimo to otrzymywać zysk (jest to przecież konieczny warunek jego pracy) oraz może sobie pozwolić na wyższe płace dla robotników. Gdyby tak miało być naprawdę, to przy innych równych warunkach, stanowiłoby to niesporny dowód wyższości gospodarki kapitalistycznej, tworzenie zaś takich zakładów u nas byłoby propagandą lepszą i bardziej przekonującą niż jakakolwiek szersza przez Głos Ameryki.

Faktem jest — wskazuje na to zresztą omawiana koncepcja — że po cichu stwarza się uprzywilejowanie nowych prywatnych zakładów. Nie omawiając sprawy tej szczegółowo, projekt podaje bowiem w swych obliczeniach „wartość w cenach detalicznych”, podczas gdy przedsiębiorstwa państwowe mają obowiązek sprzedaży według cen zbytu. Różnica jest nie mała — 14 proc., które stanowią marżę hurtową i detaliczną.

To jednak nie wszystko. W cenie zbytu zawarty jest jeszcze koszt transportu do stacji odbiorczej, a więc załadunku towaru na wagon, ewentualnego przewozu na stację PKP, jeśli zakład nie ma własnej bocznic kolejowej i wreszcie frachtu kolejowego. Biorąc pod uwagę, że przeciętna odległość przewozu dla cegły wynosi 200 — 250 km łatwo ustalić, że cena sprzedaży zakładów państwowych jest o ok. 20 proc. niższa od ceny przewidzianej dla zakładów prywatnych. Wynosi to ok. 160 zł na tysiąc cegieł i ok. 100 zł na tonie wapna. Okoliczność, że szczegóły te znane są tylko nielicznej grupie wtajmniczonych, nie stanowi usprawiedliwienia dla zamierzonego czynienia prywatnej inicjatywy kosztownych prezentów, które jej pozwolą na odgrywanie roli dobroczyńcy wobec robotników, bez uszczerbku dla własnej kieszeni.

Czy wynika stąd, że powinniśmy się nadal po linii ograniczania inicjatywy załóg fabrycznych, chłopów czy nawet prywatnych przedsiębiorców? Nie, to nie byłoby słuszne, ale jeszcze mniej słuszne jest stwarzanie wybitnie uprzywilejowanych warunków dla tej inicjatywy, umożliwiających osiągnięcie wysokich i nieuzasadnionych zysków kosztami całego społeczeństwa i przede wszystkim kosztem państwowych zakładów materiałów budowlanych. Warto przy tym dodać, że w myśl tej koncepcji koszty inwestycyjne ponosiłoby w znacznej mierze państwo, gdyż inwestycje byłyby oparte, jeśli nie w całości to co najmniej w przeważającej części, na pożyczkach państwowych. Nie jestem przy tym w stanie określić, czy te pożyczki będą rzeczywistymi pożyczkami, czy też darowizną. Wydaje się bowiem, że zwrot pożyczki nie może być w dostatecznej mierze zagwarantowany, wobec faktu, że na ogół pożyczający nie posiada majątku nieruchomości, który jest jedynym realnym zabezpieczeniem zwrotu.

Wniosek? Pozwalajmy i cieszymy się z zakładania nowych zakładów materiałów budowlanych, ale dajmy równy start wszystkim zakładom. Nie tworzymy NPP za państwowe pieniądze. Nie bądzmy tak skory do wydawania pieniędzy państwowych dla tworzenia przedsiębiorstw kapitalistycznych.

Nie chcąc jednak ograniczać się do samej negacji, pragnę sformułować wnioski pozytywne, zmierzające do wykorzystania wszystkich

możliwości i wszelkiej inicjatywy w celu zwiększenia produkcji materiałów budowlanych.

Wszelka inicjatywa przedsiębiorstw państwowych, załóg fabrycznych, spółdzielni i zespołów, jak również inicjatywy indywidualnej powinna być pobudzana i wykorzystywana. W tym celu państwo powinno udzielać wszechstronnej pomocy i stworzyć odpowiednie warunki rentowności dla już pracujących czy też nowo uruchamianych zakładów materiałów budowlanych.

Pomoc państwowa powinna polegać przede wszystkim na przydzielaniu paliwa, niezbędnych materiałów inwestycyjnych, typowej dokumentacji technicznej oraz — w miarę możliwości — porad fachowej (przedsiębiorstwa państwowe powinny otrzymywać pożyczkę inwestycyjną).

Równocześnie państwo nie powinno dopuszczać do nadmiernych zysków, regulując ceny sprzedaży oraz stosując odpowiedni system podatkowy (dla przedsiębiorstw uspołeczniowanych odpowiednią wpłatę części akumulacji do budżetu).

Przedsiębiorstwa prywatne powinny również korzystać z pomocy. Jednakowoż inicjatywa prywatna powinna przede wszystkim wykonywać kapitały własne, a zatem pożyczka bankowa mogłaby być udzielana tylko w wyjątkowych wypadkach i to w wysokości nie przekraczającej wkładu przedsiębiorców. W ten sposób istniałaby gwarancja zwrotu pożyczonej sumy.

Cena sprzedaży powinna być dla wszystkich przedsiębiorstw jednolita (oczywiście w rozbiu na gatunki, klasy itp.), przy czym możliwe są różne rozwiązania:

a) Sprzedaż większych partii odbywa się po cenach zbytu, zaś dla drobnych odbiorców za pośrednictwem GS, które inkasują należności według cen detalicznych placąc producentowi według cen zbytu.

b) Przedsiębiorstwa uzyskują prawo sprzedaży części towaru po cenach detalicznych. W tym przypadku każdy zakład ma obowiązek dostawy ustalonej ilości swych wyrobów po cenie zbytu. Ilość ta byłaby dla przedsiębiorstw państwowych ustalona w wysokości określonego procentu planu produkcyjnego, a dla nieuspołeczniowanych w odpowiednim procencie zdolności produkcyjnej zakładu (praktycznie biorąc w oparciu o istniejący piec). Cała nadwyżka byłaby sprzedawana po cenie detalicznej, a więc przy znacznie zwiększonej marży zysku, co stanowiłoby dodatkowy bodziec do zwiększania produkcji.

c) Przedsiębiorstwa ma prawo do nieograniczonej sprzedaży po cenach detalicznych, ale placą od tej sprzedaży podatek obrotowy w odpowiedniej wysokości. Rozwiązanie to wymagałoby zmiany przepisów podatkowych.

Każde z tych rozwiązań zrównałoby wszystkie przedsiębiorstwa, niezależnie od stanu organizacyjnego i właściciela środków produkcji, do jednakowego poziomu, jeśli idzie o dochody.

Stwarzając równe warunki finansowe, niezależnie od organizacji i charakteru przedsiębiorstwa pozwolimy na rozwój produkcji materiałów budowlanych bez stworzenia zdecydowanego uprzywilejowania dla sektora nieuspołeczniowanego.

Można podane tutaj tezy uważać za eksperyment gospodarczy, można też przypuszczać, że przy takich warunkach inicjatywa prywatna nie podejmie produkcji materiałów budowlanych. Ale nawet w takim wypadku, ułatwiając jej rozwój, mamy prawo liczyć na zwiększenie tej produkcji, zwłaszcza w przemśle terenowym, w zespołach chłopskich i w przedsiębiorstwach państwowych w zakresie produkcji ubocznej. Mam też pewność niepowodowania politycznego i ekonomicznego paradoksu budowy prywatnego kapitału za państwowe pieniądze i przy pomocy socjalistycznego państwa. Mamy też pewność, że nie spowodujemy w szerokiej masach robotniczych powszechnego i uzasadnionego niezadowolenia.

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWA NAUKOWE

W BIBLIOTECIE DZIEŁ EKONOMII POLITYCZNEJ UKAZAŁY SIĘ NASTĘPUJĄCE PRACE:

1. A. Smith BÓGACTWO NARODÓW, 1954, t. I/II, s. 537 i 810, 21 66.
2. D. Ricardo ZASADY EKONOMII POLITYCZNEJ I OPODATKOWANIA, 1957, s. 517, 21 66,50.
3. J. C. L. Simonde de Sismondi NOWE ZASADY EKONOMII POLITYCZNEJ, 1953, t. I/II, s. 377 i 381 i 39,10.
4. Fr. Skarbek OGÓLNE ZASADY NAUKI GOSPODARSTWA NARODOWEGO, 1935, t. I/II, s. 302 i 329, 21 45,20.
5. M. Czernyszewski WYBÓR PISM EKONOMICZNYCH, 1956, s. 663, 21 30,50.

Dziela te, wydane w jednolitej szacie zewnętrznej, oprawie w płótno i obwolucie, są do nabycia we wszystkich księgarniach naukowych.

Sprzedż ratą prowadzi wrocłowski PWN, Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 79, tel. 62291, wewn. 52.

W SERII HISTORII POLSKIEJ MYŚLI SPOŁECZNO-EKONOMICZNEJ UKAZAŁY SIĘ NASTĘPUJĄCE PRACE:

1. J. F. Nax WYBÓR PISM, 1956, c. 337, 21 20,50.
2. K. Krysiński „WYBÓR PISM”, 1956, s. 216, 21 17,50.
3. J. K. Podlecki „WYBÓR PISM”, 1955, s. 312, 21 24,50.
4. POCCZĄTKI NARĘSZYSTWISKIEJ MYŚLI EKONOMICZNEJ W POLSCE.
5. WYBÓR PUBLICYSTYKI Z LAT 1885—1895 w opracowaniu M. Falkowskiego i T. Kowalka, s. 703, 21 29.

Książki te są do nabycia we wszystkich księgarniach naukowych. Sprzedż ratą prowadzi wrocłowski PWN, Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 79, tel. 62291 wewn. 52.



"Trybuna Ludu" z dnia 30 czerwca br. ukazał się artykuł prof. O. Langego pt. "Problemy krajów gospodarczo słabo rozwiniętych". Dyskusję nad niektórymi twierdzeniami, zawartymi w tym artykule uważam za celową, ponieważ zagadnienia gospodarcze krajów zacofanych są

nie tylko jednym z najważniejszych przedmiotów badań współczesnej ekonomii światowej, lecz posiadają specjalne znaczenie dla kraju takiego jak Polska, który rozwijać musi cały szereg problemów właściwych krajom gospodarczo-zacofanym.

Może być, a w niektórych wypadkach jest tak na pewno, że wątpliwości jakie nasuwają twierdzenia prof. Lange wynikają po prostu z niewłaściwej redakcji stylistycznej, czy też ze skrótów myślowych i uproszczeń, które są wyznikiem popularno-naukowego charakteru tego artykułu. Mam jednak wrażenie, iż właśnie ze względu na nazwisko autora, które może skłaniać czytelników do bezkrytycznego przyjmowania twierdzeń zawartych w artykule, owe nieścisłości czy uproszczenia należy zasygnalizować.

Pierwszym z tych uproszczeń jest moim zdaniem stwierdzenie prof. Langego, iż: „Można by to po prostu przyjąć jako definicję zacofanego kraju i powiedzieć, że zacofany jest taki kraj, w którym zapas środków produkcji jest niewystarczający, aby zatrudnić przy pomocy nowoczesnej techniki całą istniejącą siłę roboczą i wykorzystać istniejące bogactwa naturalne”. (podkreślenie autora). Po pierwsze nie wydaje mi się, aby jakikolwiek kraj świata wykorzystywał w pełni istniejące bogactwa naturalne. Można mówić jedynie o większym lub mniejszym ich wykorzystaniu i jest kwestią dyskusyjną, czy z tego punktu widzenia nie można by uznać Kanady, której olbrzymie bogactwa naturalne wykorzystywane są w bardzo małym stopniu, za kraj bardziej zacofany od dajmy na to Ghany. Przede wszystkim jednak definicja prof. Langego nie jest moim zdaniem dostatecznie wyznaczająca. Pojęcie kraju gospodarczo zacofanego jest pojęciem nie tylko gospodarczym, lecz gospodarczo-społecznym, pojęciem nie tylko ekonomicznym lecz i socjologicznym. Obejmuje ono nie tylko problemy sił wytwórczych, lecz również zagadnienia stosunków produkcji, a w dużym stopniu również stanu kultury i wiedzy społeczeństwa. Z tego względu uważałabym za bardziej celowe nie nazywać sformułowania prof. Langego definicją kraju gospodarczo-zacofanego, lecz jedynie jego ekonomiczną charakterystyką.

Zgadzać się w pełni z prof. Langem co do tego, iż droga kapitalistycznego rozwoju, którą przechodziły niegdyś kapitalistyczne kraje Europy Zachodniej czy Stany Zjednoczone, a mianowicie droga akumulacji kapitału przez burżuazję jest dla krajów zacofanych gospodarczo niepożądana — nie mogę zgodzić się na jego argumentację, iż niezdolność burżuazji do dokonywania akumulacji wynika między innymi z tego, że „ograbienie ludności już było dokonane przez kolonizatorów i dziś już przeprowadzone być nie może”.

Akumulacja, bez względu na to czy jest dokonywana przez burżuazję, czy przez władzę państwową, polega zawsze na wyłączeniu z konsumpcji części produktu dodatkowego, wytworzonego przez społeczeństwo i przeznaczaniu go na inwestycje. Gdyby pod słowem „nie ma kogo grabić” rozumieć, iż ograbiona przez imperialistów ludność kraju gospodarczo-zacofanego nie wytwarza już produktu dodatkowego, to wówczas niemożliwa byłaby akumulacja zarówno prywatno-kapitalistyczna, jak państwowo-kapitalistyczna, czy socjalistyczna. Prof. Lange słusznie podkreśla, iż burżuazja obecnych krajów zacofanych nie posiada — w przeciwieństwie do burżuazji europejskiej okresu akumulacji pierwotnej — możliwości oparcia tej akumulacji na grabież innych krajów. Dalsze podstawowe różnice między sytuacją burżuazji wówczas, a obecnie przejawiają się moim zdaniem w:

1) braku opłacalności inwestycji prywatno-kapitalistycznych w krajach gospodarczo-zacofanych w warunkach współczesnego kapitalizmu,

2) wroście świadomości społecznej i zorganizowania mas pracujących, które przeciwdziałają się takiemu wzrostowi zysków burżuazji, jakiego konsekwencją byłby poważny wzrost akumulacji,

3) tendencji konsumpcyjnych wśród burżuazji krajów gospodarczo-zacofanych.

Rozpatrzmy nieco szczegółowiej powyższe punkty.

Dość szeroko rozpowszechnione przekonanie, iż klasy panujące krajów gospodarczo-zacofanych nie są w stanie odegrać poważniejszej roli w procesie uprzemysłowienia tych krajów ze względu na to, iż posiadają one zbyt szczupłe środki ekonomiczne aby móc dokonać poważnej akumulacji i poważnych inwestycji,

stwo jest w stanie zapoczątkować program inwestycyjny o dość szerokim zasięgu, by spowodować należyte rozszerzenie rynku wewnętrznego. Może ono tego dokonać tym łatwiej, iż nie musi się kierować rentownością inwestycji w prywatno-kapitalistycznym sensie tego słowa, lecz celem jego jest przede wszystkim rentowność społeczna, będącą w krajach gospodarczo-zacofanych bardzo wysoka.

W okresie wczesnej industrializacji krajów obecnie uprzemysłowionych opłacalność inwestycji nie stanowiła problemu tak trudnego do rozwiązania, jaki stanowi obecnie w krajach zacofanych, z tego między innymi względu, iż istniały poważne rynki zewnętrzne, rynki wewnętrzne zaś nie były tak dalece zagrożone obcą konkurencją.

Rozpatrując problem opłacalności inwestycji prywatno-kapitalistycznych w krajach gospodarczo-zaco-

rowcowej (i ściśle z nią związanym transporcie kolejowym) również i w okresie kapitalizmu przedmonopolistycznego.

Ponadto, o ile można by przyjąć, iż obawa przed konkurencją mogła skłaniać poszczególne monopole do nierozwijania w krajach gospodarczo-zacofanych tych gałęzi produkcji, w których są one bezpośrednio zaangażowane w kraju, to nie ma żadnego logicznego powodu, dla którego nie miałyby one rozwijać, w wypadku osiągnięcia wysokich zysków, innych przemysłów, nie stwarzających konkurencji dla ich własnych wyrobów. Trudno chyba przyjąć założenie istnienia jakiejś ogólnej zmozy między wszystkimi monopolistami krajów rozwiniętych, polegającej na wzajemnym nie stawianiu sobie konkurencji na terenie wszystkich krajów gospodarczo-zacofanych. Zresztą, o ile nawet założenie takie byśmy przyjęli, roz-

rowcach. Ostatecznie rozwój produkcji na Bliskim Wschodzie stwarza zupełnie taką samą konkurencję dla nafty amerykańskiej, jak „Volta Redonda” dla „United States Steel Corporation”.

Dla uniknięcia nieporozumień musimy się w tym miejscu wyraźnie zastrzec, iż nie występuję przeciwko twierdzeniu, że zagraniczny kapitał monopolistyczny utrudnia tworzenie się niezależnego od niego przemysłu w krajach gospodarczo-zacofanych. Nie mam również zamiaru negować, iż bywały wypadki, gdy nawet przy istnieniu odpowiednich warunków dla inwestycji w krajach zacofanych, inwestycji tych, ze względu na konkurencyjnych zagraniczny kapitał nie podejmował. Miało to miejsce wielokrotnie, szczególnie gdy kapitał ten należał do obywateli państwa, od którego kraj zacofany był bezpośrednio gospodarczo uzależniony. Chodzi mi jedynie o to,

najwyższą stopę zysku — co ma miejsce w wypadku surowców, z tych między innymi względów, iż na ich produkcji stosunkowo najmniej odbijają się braki infrastruktury i że zapewniony one mają zewnętrzny rynek zbytu. W miarę rozwijania się rynku wewnętrznego (lub możliwości eksportowych) wzrasta zainteresowanie kapitału zagranicznego przemysłem lekkim.

W przemyśle ciężkim, którego rentowność społeczna jest bardzo wysoka, rentowność w sensie prywatno-kapitalistycznym jest — w obecnych warunkach krajów gospodarczo-zacofanych — mała, zaś długi cykl produkcyjny zwiększa ryzyko lokat. Tu właśnie, moim zdaniem, tkwi główna przyczyna, dla której prywatny kapitał zagraniczny nie przyczynił się do uprzemysłowienia krajów gospodarczo-zacofanych.

W chwili obecnej eksport kapitału do krajów gospodarczo-zacofanych nie przybiera większych rozmiarów, nawet jeśli chodzi o produkcję surowcową. Wpływa na to w pewnym stopniu wysoka stopa zysku wewnątrz krajów uprzemysłowionych, głównej jednakże przyczyny tego stanu rzeczy szukać należy w poważnym wzroście ryzyka związanego z inwestycjami zagranicznymi przy jednoczesnym zmniejszaniu się możliwości osiągnięcia wysokich zysków. Nawet abstrahując od możliwości wojen, czy poważnych zaburzeń społecznych w niektórych krajach zacofanych — możliwości nacjonalizacji, wzrostu opodatkowania, ograniczeń w transferze zysków itp. zwiększają „premię ryzyka”, którą musiałaby przynosić kapitał zagraniczny, aby się na nie kapitałiści zdecydowali; z drugiej strony rozszerzenie ustawodawstwa pracy oraz uczulenie opinii publicznej utrudniają stosowanie tego stopnia wyzysku, który w przeszłości gwarantował wysoką stopę zysku.

Przyjęcie tezy, iż kapitałiści krajów uprzemysłowionych nie rozwijają przemysłu krajów gospodarczo-zacofanych przede wszystkim ze względu na obawę przed konkurencją, pozwoliłoby na wyciągnięcie wniosków, że istnieją wszelkie dane po temu, by w przyszłości inwestycje zagraniczne w krajach gospodarczo-zacofanych wzrastały. Z chwilą bowiem gdy, jak zaczyna to już mieć miejsce, kraje te rozwijają zaczął przemysł miejscowy własnymi siłami, czy też w oparciu o pomoc krajów socjalistycznych, to wówczas właśnie względnie konkurencyjne skłaniać powinny monopolistów krajów uprzemysłowionych do przezwyciężenia tego przemysłu we własne ręce. Jeśli natomiast uznamy, iż zahamowanie eksportu kapitału prywatnego było skutkiem braku dostatecznie zyskowych i pewnych lokat w krajach gospodarczo-zacofanych, to perspektywy na przyszłość będą zupełnie inne. Zapoczątkowanie rozwoju przemysłowego krajów „gospodarczo-zacofanych” może co prawda rozszerzyć pole do korzystnych lokat w tych krajach — poprzez rozwój rynku wewnętrznego, co może w pewnym stopniu wpłynąć na inwestowanie kapitałów zagranicznych w przemysł, z drugiej jednak strony nie wydaje się prawdopodobne, by stopień ryzyka — związany z możliwością ograniczeń w bezwzględnej wysokości zysków, czy też ich transferze, a szczególnie ryzyka ewentualnej nacjonalizacji — zmalał. I z tego właśnie względu (pomijając kwestie polityczno-społeczne) nie jest prawdopodobne, by prywatne inwestycje zagraniczne odegrały jakąkolwiek ważniejszą rolę w uprzemysłowieniu krajów gospodarczo-zacofanych.

Nie zgadzam się z prof. Langem

ZOFIA DOBRSKA

nie odpowiada prawdzie. Jak wykazały ostatnie badania licznych ekonomistów burżuazyjnych, w większości krajów gospodarczo-zacofanych część dochodu narodowego przypadająca klasom panującym jest nawet wyższa niż w krajach rozwiniętych, nie ma więc, z tego punktu widzenia, przeszkód, by udział inwestycji w dochodzie narodowym był większy. Problem polega na tym, iż klasy panujące w tych krajach nie zużytkowują swych dochodów w sposób produkcyjny, lecz w przeważającej mierze je konsumują. Jest to w dużej mierze wynikiem istnienia w tych krajach półfeudalnych stosunków społecznych (na co zwraca uwagę prof. Lange), jednakże powołanie się na te stosunki nie rozwiązuje w pełni sprawy. Sam fakt bowiem ich istnienia w drugiej połowie XX wieku dowodzi, iż nie ma w krajach gospodarczo-zacofanych warunków dla wprowadzenia kapitalistycznych metod produkcji. Nie ma zaś ich z tego przede wszystkim względu, iż z braku dostatecznych rynków zbytu zarówno wewnętrznych (słaby rozwój życia gospodarczego), jak zagranicznych (konkurencja krajów uprzemysłowionych), inwestycje prywatno-kapitalistyczne są nieopłacalne. Twierdzenie, iż produkcja kapitalistyczna stwarza swój własny rynek zbytu, jest słuszne jedynie przy założeniu, iż produkcja ta rozwija się równocześnie na stosunkowo szerokim froncie, tak iż wyroby jednych gałęzi przemysłu wymieniane być mogą na wyroby innych gałęzi. W stadium rozwoju gospodarczego, w jakim znajdują się obecnie kraje zacofane, możliwości opłacalnych inwestycji dla poszczególnej prywatnych inwestorów są bardzo ograniczone. Jedynie pań-

fanych nie można abstrahować od kwestii wymienionych w punkcie 2 niniejszych uwag, a mianowicie od stopnia świadomości społecznej i zorganizowania mas pracujących. Wysokie zyski osiągane przez kapitalistów w dobie akumulacji pierwotnej w krajach zachodnio-europejskich i wysoka w ich konsekwencji akumulacja prywatna umożliwione były między innymi takim stopniem wyzysku mas pracujących, jaki w czasach obecnych jest ze względu na społecznych nie do powtórzenia.

Po trzecie wreszcie burżuazja miejscowa nie jest w stanie odegrać poważniejszej roli w uprzemysłowieniu krajów gospodarczo-zacofanych również i dlatego, iż — w przeciwieństwie do kapitalistów XIX-wiecznej Europy — akumuluje ona stosunkowo małą część swych zysków. Przykład wysokiego poziomu życia krajów rozwiniętych powoduje, że tendencje konsumpcyjne są równo samej burżuazji, jak i klas średnich są znacznie silniejsze, niż były w okresie uprzemysławiania krajów obecnie gospodarczo-rozwiniętych.

Należy podkreślić, iż owe silne tendencje konsumpcyjne charakterystyczne są dla ogółu ludności krajów gospodarczo-zacofanych i że znaczenie ich nie ogranicza się do skutków, jakie wywrzeć mogą na inwestycje prywatne. Utrzymanie konsumpcji społecznej na poziomie odpowiadającym potrzebom akumulacji, w czasie gdy masy ludności dążą do możliwie szybkiego doścignięcia stopni życiowej krajów wysoko-uprzemysłowionych, jest jedną z podstawowych trudności procesu akumulacji we wszystkich mniej rozwiniętych gospodarkach krajów obecnej — zarówno kapitalistycznych, jak i socjalistycznych.

Jednakże właśnie owa trudność czyni bezpośrednią ingerencję państwa niezbędną. Abstrahując już od znacznie szerszych możliwości państwa — w porównaniu z kapitalizmem prywatnym — do narzucenia społeczeństwu przymusowych oszczędności (w formie podatków, odpowiedniej polityki pieniężnej itp.), ograniczenie wzrostu konsumpcji dla zwiększenia akumulacji przeznaczanej na cele społeczne napotyka na znacznie mniejszy opór ludności, niżby to miało miejsce w wypadku akumulacji prywatno-kapitalistycznej. Z drugiej zaś strony istnienie silnych tendencji konsumpcyjnych wśród kapitalistów krajów zacofanych stwarza dodatkowe racje do ograniczania wzrostu ich zysków (które w znacznej części wydatkowane byłoby nieprodukcyjnie) oraz dla regulowania przez państwo kierunków inwestycji (dla przeciwstawienia się wyraźnie w tych krajach występującym tendencjom lokowania kapitałów w produkcji artykułów konsumpcji luksusowej).

Poważne zastrzeżenia budzi we mnie również twierdzenie prof. Langego, często zresztą formułowane przez ekonomistów marksistowskich, iż kapitał zagraniczny inwestowany w krajach gospodarczo-zacofanych lokuje się przede wszystkim w eksploatację surowców, a nie w rozwój przemysłu ciężkiego, z tego względu, iż jako kapitał monopolistyczny obawia się „on stworzenia konkurencji dla swych własnych wyrobów”.

Przed wszystkim stwierdzić należy, iż jeżeli chodzi o obecne kraje zacofane, to kapitał zagraniczny lokował się głównie w produkcji su-

wiżywałoby ono sprawę jedynie w przeciągu bardzo krótkiego okresu czasu. Dopóki bowiem w samych krajach uprzemysłowionych wielkość zainwestowanego kapitału nie ulega zmianie argument obawy przed konkurencją może tłumaczyć, dlaczego monopole nie rozwijają przemysłu w krajach gospodarczo-zacofanych. Nie tłumaczy on jednakże dlaczego z chwilą rozbudowy potencjału produkcyjnego, dokonywanej, przecież przez wielkie monopole na dość szeroka skalę, potencjał ten lokowany jest w krajach rozwiniętych, a nie w krajach gospodarczo-zacofanych, gdzie, według założeń zwolenników „teorii konkurencyjności”, byłby on znacznie bardziej opłacalny.

Wreszcie, gdybyśmy przyjęli, że to właśnie obawa przed konkurencją hamuje inwestycje zagraniczne w przemyśle ciężkim krajów gospodarczo-zacofanych, dość trudno byłoby wytłumaczyć, dlaczego działa ona w znacznie mniejszym stopniu jeśli chodzi o przemysł lekki — i dlaczego nie działa zupełnie przy su-

niż nie można tego czynnika generalizować, gdyż nie jest on absolutnie w stanie wytłumaczyć ogólnych tendencji panujących na międzynarodowym rynku kapitalistycznym.

To iż inwestycje zagraniczne w krajach gospodarczo-zacofanych lokują się głównie w produkcję surowców, jeżeli zaś lokowane są one w przemyśle — to przeważnie w przemyśle „lekkim, nie ulega żadnej wątpliwości. Jednakże nie można, moim zdaniem, tłumaczyć tego zjawiska „obawą przed konkurencją”. Tłumaczyć go natomiast należy, tak jak i wszystkie inne decyzje kapitalistów, zasadą opłacalności. Wbrew dość szeroko rozpowszechnionemu pogłówni, koszty produkcji w krajach gospodarczo-zacofanych nie są, przeciętnie biorąc, bynajmniej niższe niż w krajach uprzemysłowionych, a to ze względu na brak infrastruktury i wykwalifikowanej siły roboczej. Zapewnienie zaś opłacalności produkcji (na szczeblu przedsiębiorstwa) jest trudniejsze na skutek szczupłości rynku wewnętrznego. Inwestycje zagraniczne kierują się tam, gdzie mają zapewnioną

mają więc albo tonaż statkowy za-kontrałowany na dłuższy czas, dla którego chwilowo nie mają zajęcia, albo też mają zboże na składach częściowo w Europie i chcą się go pozbyć (opłaty składowe). To samo dotyczy bawełny, której poważne partie otrzymamy z Liverpool'u i z Bremy.

Przybycie pierwszych transportów z USA przewidziano w harmonogramach na koniec lipca. Do tego czasu musieliśmy ukończyć realizację kontraktu zbożowego z Kanadą oraz odtransportować w głąb kraju jute z magazynów surowców tekstylnych, (ow)

Kronika Nowa

PRZEWOZY Z USA DO POLSKI

Dziwnym zbiegiem okoliczności przewozy z USA do naszych portów zaczęły się transportem — wę-gla. Jest to specjalny węgiel zamówiony przez NRD dla Huty Le-nina, celem uzyskania z niego twar-dego koksu, który wysłamy do NRD. Hamburg zanotował stawkę frach-tową: węgiel Baltimore Polska raz sz 57/6, następnie 58/ — więc o 10/6 do 11/ — szylinga więcej, niż np. do Rotterdamu. Przy 10 tys. ton (nośność statku typu Liberty) ozna-cza to okragło 15 tys. dol., które płaci się za większą o 7 dni (licząc tam i z powrotem) odległość, za o-płaty w kanale kilońskim (ok. 1000 dol.) i za — niestety — znacznie dłuższy czas wyładunku w naszych portach (w Rotterdamie 3 000 ton, u nas 1 000 ton na dobe). O jakiej-kolwiek dyskryminacji nie ma tu mowy, decyduje kalkulacja i to w tym wypadku „łagodna”. Armato-rzy trampowi chętnie wybierają o-becnie dłuższe trasy, gdyż zyskują więcej czasu na szukanie ładunku na następny rejs.

Opracowywanie transportów zbo-ża jest już w pełnym toku. Nasz „Polfracht” zaccarterował już bli-sko 100 tys. ton. Natrafia jednak przy tym na dziwnego rodzaju „konkurencję”, gdyż amerykańskie domy handlowe, od których kupuje się zboże (także soję, bawełnę) o-feru-ją do wyboru przez stronę polską

cenę fob lub cif. Oferta ta jest tak skonstruowana, że w stawce cif fracht: wypadła znacznie poniżej no-towań rynkowych, w każdym razie poniżej stawek, które „Polfracht” może uzyskać na wolnym rynku frachtowym. Te domy handlowe

Gospodarka światowa w liczbach

Park samochodowy w niektórych krajach kapitalistycznych (w tys.)

K r a j	Stan na 1.1.1957 r.		
	ogółem	w tym	
		osobowe	ciężarowe
USA	64 601	54 127	10 328
Anglia	5 422	4 096	1 246
Francja	5 002	3 690	1 330
Kanada	4 323	3 250	1 060
NRD	3 162	2 400	674
Australia	2 144	1 410	666
Włochy	1 460	1 076	364
Japonia	994	182	771
Szwecja	854	735	111
Unia Półd. Afrykańska	801	613	182
Belgia	699	519	176
Brazylia	659	320	339
Indie	378	186	155
Egipt	94	74	18
Izrael	40	18	20
Syria	27	14	11
Jordania	9	0,6	9



Zbiór bawełny na Bliskim Wschodzie

LISTY

cznej pracownicy obecnie jako kierze-
dzęsielstwo budowlanych, przegnie-
cają jego kwalifikacje. Dotychczas
były skarbowe, kierownik sekcji
misji planowania gospodarczego,
z oddziału PRK oraz kilka kie-
w jednym z biur projektów,
usługi i organizacji pracy maszyn
uści i statystyki.
dywizji księgowy lub zastępcą głów-
budowlanych, ogólnie jako kie-
w w przemyśle lub budownictwie.
esem „Zdania Gospodarczego” z do-

J. Z.

Artysta T. Kowalik „So-
cjalizm bez mistyki”
wysuwa szereg tez, któ-
re budzą mój sprzeciw.
W związku z tym, że
na kwestie sporne po-
staram się przedstawić
swoją postawę, można
przystać, że zgadzam się
z pozostałymi tezami i
do nich nawiązywać w
artykule nie będę.

Uważam, podobnie jak autor „So-
cjalizmu bez mistyki”, że socjalizm
to ustrój oparty na społecznej wła-
sności środków produkcji. A więc
głównym kryterium ekonomicznym
jest uspołecznienie środków pro-
dukcji. Różni się natomiast w
sposób rozumienia uspołecznienia.
Kowalik przez uspołecznienie po-
daje w zasadzie uproszczenie
czy uspołecznienie środków pro-
dukcji, a socjalizm „to taki model
instytucjonalny, w którym dyspo-
nowanie środkami produkcji i samą
produkcją należy do władzy cen-
tralnej lub też inaczej — w którym
sprawy gospodarcze społeczeństwa
należą z zasady do sfery publicznej
a nie do prywatnej”.

Ja przez uspołecznienie rozumiem
coś więcej. Wprawdzie uważam, że
głównym kryterium uspołecznienia
jest przejęcie środków produkcji
przez takie formy prawnie i insty-
tucjonalne, jak państwo czy różne-
go rodzaju zrzeszenia, ale uspołecz-
nienie do tego nie sprowadzam. Cóż
jeszcze należy włożyć w pojęcie
uspołecznienia?

Uspołecznienie stwarza możliwość
a zarazem zakłada udział wytwór-
ców w zarządzaniu, a więc powinno
zawierać ex definitione demokrację
wytwórców. Czy będzie ona szeroka
czy nie, to zależy od szeregu czyn-
ników. Z tym związany jest udział
bezpośrednich wytwórców w wy-
tworzeniu produkcji. Wyniki go-
spodarowania powinny przyspisać im
przynajmniej w podstawowej swej
miarze. Oznacza to, że gospodarowa-
nie środkami produkcji oraz ich
wynikami nie może być prowadzone
ze szkoda dla społeczeństwa.
Wreszcie uspołecznienie środków
produkcji powinno stworzyć dogo-
dniejsze warunki rozwoju sił wy-
twórczych w porównaniu z analogi-
czną sytuacją w warunkach włas-
ności prywatnej. Różnice w poj-
mowaniu uspołecznienia przez Ko-
waliaka i przeze mnie są więc wy-
raźne. Stąd też przez socjalizm bę-
dę rozumiał taki ustrój społeczny,
w którym środki produkcji zostały
uspołecznione, a w wyniku tego na-
stąpiło powołanie nowych form in-
stytucjonalno - prawnych w posta-
ci demokracji wytwórców i). Jaką
formę przyjmie demokracja wy-
twórców, to już inna sprawa, zależ-
na od czynników obiektywnych
(stopień rozwoju ekonomicznego) i
czynniki społeczno - polityczne
(specyfika kraju, układ sił klaso-
wych itp.).

Można mi zarzucić, że pojęcie so-
cjalizmu nadaje cechy nie tylko spo-
łeczno - ekonomiczne - obiektywne,
ale i normatywne. To prawda. Taki
zarzut byłby dla mnie jednak nie
w pełni zrozumiały. Wszak historia
nie zna ustroju posiadającego cechy
wynikające jedynie z czynników ob-
iektywnych. Jeżeli uznajemy, że rozwój
historii ludzkiej to nie tylko ślepy
fatalizm, ale i działalność ludzka —
mniej czy bardziej świadoma —
kierująca się pewnymi normami,
zasadami, które w mniejszym lub
większym stopniu wcielane są w
życie, to pewien stopień normatyw-
ności każdego ustroju stanie się ja-
sny. Uznając, że w pojęciu socja-
lizmu mieszczą się pewne cechy nor-
matywne, nie chcę w żadnym wy-
padku twierdzić, że socjalizm musi
być „ustrojem racjonalnym, bez-
biednym i funkcjonalnym. Jeżeli zaś
występują liczne nonsensy gospo-
darcze, to podważają one nasze do-
tychczasowe osiągnięcia na drodze
do socjalizmu”. Takie twierdzenie
jest w każdym razie co najmniej
nieracjonalne, albowiem pod rzec-
zywisty utopię, z idealnymi, wy-
bitnymi i nieomylnymi ludźmi. A w
socjalizmie ludźcie są (czy będą) ta-
cy sami, jak i w innych ustrojach,
z tym, że w pewnym stopniu na-
stąpi przezwyciężenie alienacji.

Te różnice prowadzą do dalszych
rozbieżności. Nie mogę się zgodzić
z odrzuceniem okresu przejściowego
i stwierdzeniem, że „okres prze-
jściowy sprowadza się do decydują-
cej bitwy między kapitalizmem i
socjalizmem, do zasadniczego roz-
strzygnięcia problemu kto — kogo.
Do zapewnienia układowi socja-
listycznemu dominującej roli i pozba-
wienia ekonomicznych i politycz-
nych podstaw panowania burżuazji”.

Kowalik słusznie podniósł, że do-
tychczasowe pojmowanie okresu
przejściowego jest niewłaściwe. W
pojęciu okresu przejściowego mie-
ściło się bowiem zadanie zrealizo-
wania wszechwładnego i wyłącz-
nego zapanowania socjalistycznych
form produkcji. Wychodziło się z
założenia, że istnienie układu nie-
socjalistycznego sprzeczne jest z po-
jęciem socjalizmu. Teza ta współ-
grała z innymi, mówiącymi np. o
zastraszającej się walce klasowej.
Kiedy zaś powiadało się ją z tezą
o tym, że „drobna produkcja, co
dzień, co godzinę w skali masowej
rodzi kapitalizm”, to kraj się fak-
tycznie socjalizm mógł stać się fak-
tem dokonany z chwilą likwidacji
klas społecznych. Wychodziło się
z założenia, że istnienie układu nie-
socjalistycznego sprzeczne jest z po-
jęciem socjalizmu. Teza ta współ-
grała z innymi, mówiącymi np. o
zastraszającej się walce klasowej.
Kiedy zaś powiadało się ją z tezą
o tym, że „drobna produkcja, co
dzień, co godzinę w skali masowej
rodzi kapitalizm”, to kraj się fak-
tycznie socjalizm mógł stać się fak-
tem dokonany z chwilą likwidacji
klas społecznych. Wychodziło się
z założenia, że istnienie układu nie-
socjalistycznego sprzeczne jest z po-
jęciem socjalizmu. Teza ta współ-
grała z innymi, mówiącymi np. o
zastraszającej się walce klasowej.

Takie pojmowanie okresu prze-
jściowego należy bezwzględnie od-
rzucić. W ogóle należy podkreślić,
że przyjęcie a priori socjalizmu ja-
ko „czystego” ustroju jest błędne i
nienaukowe. Można powołać się na
analogie na dotychczas istniejące
ustroje, które nigdy nie były ustro-
jami „czystymi”, bez obcych nie-
typowych układów społeczno - ek-
onomicznych. Podobne zjawisko mo-
że mieć miejsce również w socja-
lizmie. Brak w tej chwili dostate-
cznych podstaw do twierdzenia,
że cały układ drobno - chiński
przekształci się w układ spójny i
zrzeszeniowy. To samo — cho-
ciaż może w mniejszym stopniu —
odnosi się do drobnej produkcji
w mieście. Historia socjalizmu i to
w wielu krajach może dopiero dać
na to pytanie właściwą odpowiedź.

Jeżeli zatem uznać, że dla kształ-

2) od określonej polityki gospo-
darczej państwa dokonującego prze-
kształcenia struktury gospodarczej
kraju 2)

Wybór określonej polityki gospo-
darczej posiada istotny wpływ za-
równo na tempo przekształceń go-
spodarczych, jak i na wykształce-
nie się pewnych form instytucjo-
nalnych. Jeżeli państwo zdecydo-
wane było (czy jest) na szybkie
przekształcenie struktury ekono-
micznej kraju, to konieczna jest
wysoka stopa akumulacji przy
ograniczonej konsumpcji i duży
udział inwestycji w produkcję glo-
balną. Ograniczenie konsumpcji
przy wzroście zatrudnienia oznacza
w praktyce spadek płac realnych,
co jest możliwe do zrealizowania
tylko przy nacisku państwa. Stąd
nie trudno wywnioskować, że taka
instytucja, jak np. demokracja wy-

że w kapitalizmie nie może po-
wstać układ socjalistyczny. Tłuma-
czono, że mamy w tym wypadku
do czynienia z różnymi formami
własności i stąd nie możliwe
jest ich współistnienie.

„Dlatego wszystkie dotychczasowe
typy ustroju, produkcji powstały
i rozwijały się w ramach i w opar-
ciu o określone formy własności
i relacje społeczne, natomiast socja-
listyczne stosunki produkcji powstały
i rozwijały się jedynie na obszarze pa-
nowania burżuazji, w drodze planowej
działalności państwa socjalistycznego,
kierowanego przez rewolucyjną partię
klas robotniczych”.

Jest to uwarunkowanie najgłębszą od-
miennością albo lepiej — przeciwsta-
wności socjalizmu w stosunku do wszyst-
kich an-agonistycznych formacji społecz-
no-ekonomicznych”. I dalej:
„Socjalistyczne stosunki produkcji nie
mogą powstać w drodze żywiołowego
rozwoju starych ustroju i przekształ-
cenia ich w nowe. Powstanie ich wymaga
rewolucyjnego wstrząśnięcia w stare
stosunki własnościowe „wymuszenia
wymuszenia”, uspołecznienie podsta-

roźni się od niego w sposób istot-
ny.

Jest faktem bezspornym, że acz-
kolwiek współczesny kapitalizm
państwowy idzie na rękę burżuazji,
a w szczególności monopolom, to jed-
nakże interesów jego nie można
moim zdaniem w pełni utożsamiać
z interesem burżuazji. Państwo wy-
obcowuje się częściowo z reprezen-
tanta klasy kapitalistów w repre-
zentanta całego społeczeństwa. To
częściowe wyobcowanie posiada
istotne, w większości przypadków
pozytywne konsekwencje dla ogółu
społeczeństwa.

Wyobcowanie to możliwe było
dzięki rozwojowi funkcji gospodar-
czych państwa, o istotnym znacze-
niu dla gospodarki. Rozwój tych
funkcji staje się coraz większy, do-
prowadzając do powstania układu

gospodarki, dochody z niej idące
częściowo na cele społeczne, wszyst-
ko to uprawnia do postawienia
tezy, że mamy tu do czynienia z
uspołecznieniem własności. Wpraw-
dzie nie będzie to jeszcze uspołecz-
nienie socjalistyczne, albowiem nie
ma demokracji wytwórców, ale bę-
dzie to uspołecznienie o pewnych
elementach socjalistycznych.

Rozwój funkcji gospodarczych
państwa kapitalistycznego pozwala
jeszcze na pewne (względne) ogra-
niczenie dochodów burżuazji. Nie
należy tego problemu lekceważyć.
Wszak w szeregu krajów państwo
zabiera od pewnej wysokości 30 do
80% całego dochodu. Jednocześnie
na poprawę położenia materialnego
mas pracujących wpływa walka
klasy robotniczej i samo państwo,
bądź przez różnego rodzaju kon-
sumpcję publiczną, bądź przez na-
ciśk na kapitalistów. Przyczyny te-
go są różnorodne i niesposób o
nich w tym miejscu mówić. Pro-
wadzi to jednak niewątpliwie do
stopienia sprzeczności klasowych.

Chciałbym wreszcie zwrócić u-
wagę na pewien ważny problem z
tym związany. Od Zjazdu KPZR
teza o możliwości pokojowego
przejścia do socjalizmu nie jest u-
ważana za akt zdrady wobec ru-
chu robotniczego. Wręcz przeciwnie
coraz więcej partii robotniczych
próbują wypracować program u-
względniający etapy, środki, formy
i siły, dzięki którym będzie można
to pokojowe przejście przenieść
ni. Wydaje się, że rozwój układu
państwowego we współczesnych
państwach kapitalistycznych jest
nie tylko taką przesłanką, ale sta-
nowi naturalną podstawę ekono-
miczną pokojowego przejścia do
socjalizmu. Można sobie wyobrazić,
że np. parlamentarne objęcie wła-
dzy przez proletariát, będzie równo-
znaczne z powstaniem poważnego
już układu państwowego, który sta-
je się socjalistyczny przez sam fakt
zmiany władzy, co w praktyce o-
znaczałoby tylko zerwanie pewny-
ny łączącej ten układ z pozostałym
układem kapitalistycznym. Fakt te-
go powiązania odbiera socjalistycz-
ny charakter uspołecznieniu, które
się dokonało w kapitalizmie.

Streszczając dotychczasowe roz-
ważania, uważam, że we współczes-
nym kapitalizmie następuje uspo-
łecznienie środków produkcji w u-
kładzie państwowym. Uspołecznie-
nie to nie ma wprawdzie wszyst-
kich elementów uspołecznienia so-
cjalistycznego, tym niemniej ma ich
tyle, by stwierdzić, że w łonie ka-
pitalizmu kształtuje się układ so-
cjalistyczny będący podstawą poko-
jowego przejścia od kapitalizmu do
socjalizmu. Powyższe uwagi stano-
wią podstawę dla twierdzenia, że
dla krajów rozwiniętych gospodar-
czo nie jest konieczny okres prze-
jściowy jako faza historyczna, leżąca
między kapitalizmem a socjalis-
mem.

1) Jest to oczywiście tylko ekonomicz-
na charakterystyka — socjalizmu, nie
uwzględniająca jego socjologicznych
aspektów.

2) O tym, że tylko państwo jest zdolne
do tego przekształcenia, pisałem w ar-
tykule „Rola państwa w teorii wzrostu”,
Złoty Gospodarczy nr 29/57.

3) W. Brusa, H. Pohorille „Zagadnienie
budowy ekonomicznych podstaw socja-
lizmu” PWN, 1953 r., str. 40.

4) Tamże, str. 41.

SPÓR o właściwe pojmowanie SOCJALIZMU

JERZY KLEER

tworzenia społeczno - ekonomicznej
formacji socjalizmu nie jest koni-
eczne opowiadanie bez wyjątków
wszystkich dziedzin produkcji, a
tylko dominanta układu socja-
listycznego, to należy bądź odrzu-
cić okres przejściowy jako niepotrzeb-
ny, tak jak to czyni Kowalik, bądź
wskazać na jakieś inne, dotąd nie
podnoszone przyczyny, które by je-
go istnienie uzasadniały. Postaram
się to właśnie uczynić.

Nie uważam, aby istnienie okre-
su przejściowego jako prawidłowo-
ści, tzn. występowanie go we
wszystkich krajach przechodzących
od kapitalizmu do socjalizmu, było
konieczne. Konieczność istnienia
okresu przejściowego wiązałbym z
pewnymi grupami krajów. Chodził
mianowicie o kraje zacofane.

Marks w słynnej przedmowie do
„Przyczynka do Krytyki Ekonomii
Politycznej” pisał: „Żadna formacja
społeczna nie ginie, zanim się nie
rozwiną wszystkie te siły wytwór-
cze, którym ona daje dostateczne
pole rozwoju, a nowe, wyższe sto-
sunki produkcji nie zjawiają się
nigdy na jej miejsce, zanim w łonie
starego społeczeństwa nie doj-
rzeją materialne warunki ich ist-
nienia” (przekład polski 1953 r.,
str. 5-6).

Historia ostatniego półwiecza nie
rozwinęła się w pełni zgodnie z ty-
mi przewidywaniami. Uogólnienie
to nie traci nic ze swej mocy jedy-
nie w sensie ogólnym tzn. przy roz-
patrywaniu kapitalizmu w ogólnos-
ci. Natomiast historia rozwoju po-
szczególnych krajów nie potwier-
dziła tych twierdzeń.

Przejście do społeczeństwa kapita-
listycznego do socjalistycznego
nastąpiło przede wszystkim w kra-
jach zacofanych. W krajach tych
decydującym czynnikiem przejścia
od jednego ustroju do drugiego nie
były przesłanki ekonomiczne, wa-
runki materialne na gruncie któ-
rych miał powstać socjaizm, lecz
należało do nich działania rewolucyj-
nie szerokie mas społecznych, nie
ciągących dalej żyć w starych wa-
runkach. Powstał paradoks. Masy
miały władzę, ale gospodarka kra-
ju, stopień rozwoju sił wytwórczych
nie odpowiadał zadaniom jakie one
(masy) chciały zrealizować. Warun-
ki ekonomiczne nie dawały podstaw
aby w stosunkowo krótkim czasie
została zrealizowana utopia, która
zagrzewała te masy do walki. Stąd
powstała „konieczność” wskazania
masom, gdzie jest ten socjalizm za-
czynny, gdzie jest zaś koniec prze-
jściowy. Co należy zrobić, aby ten
socjalizm urzeczywistnić. Dlatego
też socjalizm budowano metodą
akcji i kampanii.

Mistyfikacja wyrażała się przede
wszystkim w tym, że nie uświada-
miano sobie, że to co się robi, to
robotę, którą powinien był wyko-
nać kapitalizm. Najogólniejsze za-
danie polegało na stworzeniu nowo-
czesnej bazy produkcyjnej tzn. tak-
kiej, gdzie decydującą dziedziną
produkcji jest przemysł, a wytwa-
rzanie jest maszynowe. Zaś cha-
rakter gospodarki większości kra-
jów, w których dokonała się rewolu-
cja, był rolniczy a wytwarzanie
rzemieślnicze. Takie przekształcenie
bazy produkcyjnej kapitalizm w za-
sadzie jest w stanie zrealizować i
w wielu krajach już zrealizował.

Przed masami i ich państwem
stało w pierwszym rzędzie zadanie
przekształcenia zacofanej go-
spodarki w rozwiniętą. Do tego po-
trzebny był pewien okres czasu.
I to właśnie fazę rozwoju ekono-
micznego nazywam okresem prze-
jściowym. Tak pojęty okres prze-
jściowy jest i bardzo wymierny i
ekonomicznie uzasadniony. Czy bę-
dzie on długi czy krótki to zależy
w zasadzie od dwóch czynników:
1) od stopnia rozwoju sił wytwór-
czych danego kraju; zacofanie nie
jest wszędzie równomierne;

wytwórców, nie może w takich wa-
runkach mieć miejsca, bądź też wy-
stępuje w skrajowej postaci.
To samo dotyczy i innych form in-
stytucjonalnych, które powinny wy-
stępować w socjalizmie. Można chy-
ba uogólnić, że im kraj jest bar-
dziej zacofany i im większe tempo
wzrostu jest narzucone polityką go-
spodarczą państwa, tym zaślepi-
stwiej demokracje (zarówno
gospodarczych jak i społecznych)
jest mniejszy.

Reasumując uważam, że przez
okres przejściowy od kapitalizmu
do socjalizmu należy rozumieć taką
fazę rozwoju ekonomicznego, w któ-
rej przy istnieniu władzy mas na-
stępuje przekształcenie struktury
ekonomicznej kraju z przewagą
rolnictwa i rzemieślniczej wytwór-
czości, w strukturę o dominującej
roli przemysłu i wytwórczości ma-
szynowej. Dlatego też uważam, że
o okresie przejściowym można mó-
wić tylko w odniesieniu do krajów
zacofanych.

Jeżeli uznać że uwagi te odpo-
wiadają rzeczywistości, to jak się
sprawa przedstawia z krajami roz-
winiętymi? Uważaliśmy dotychczas,

wowych środków produkcji. Jest rzeczą
zrozumiałą, że tego rodzaju stosunki
produkcji i tego rodzaju klasa, będąca
jej wcieleniem — godzą w same pod-
stawy „starego porządku”, w samo
istnienie wszystkich klas wyzyskujących.
Dlatego też, Gopki burżuazja ma w
swoim ręku władzę państwową (aparát
obrony jej ekonomicznego panowania)
nie może być mowy o powstaniu „go-
tów” form” układu socjalistycznego.”)

Właśnie w stosunku do tych tez
mam wątpliwości. To, że w warun-
kach kapitalizmu powstają mate-
rialne przesłanki ustroju socja-
listycznego nikt nie podaje w wątpli-
wość. Wydaje się jednak, że mamy
tam do czynienia nawet z czymś
wiecej, mianowicie z procesem us-
połecznienia własności. Chodził mi
o proces oddzielania kapitału funk-
cji od kapitału własności, o od-
wrotną stronę procesu koncentracji
i centralizacji. Początki tego pro-
cesu scharakteryzował jeszcze
Marks w III tomie „Kapitału”.
Dalszy jego rozwój to nie tylko
monopol, ale kształtowanie się ka-
pitalizmu państwowo - monopol-
istycznego oraz kapitalizmu pań-
stwowego. Obecny kapital pań-
stwowo, mimo że w prostej linii
jest potomkiem np. monopolu ty-
toniowego w państwie pruskim,

państwowego, który i jest i nie
jest kapitalistycznym. Jest jeszcze
tak przede wszystkim dlatego, że
na samo państwo decydujący, acz-
kolwiek nie jedyny wpływ ma bur-
żuazja. Dalej, że w dużej mierze
korzyści płynące z tego układu o-
trzymuje burżuazja. Nie jest już
kapitalistyczny dlatego, że rozwija
się on nie w sposób typowo anar-
chistyczny, lecz częściowo planowy.
Dzięki temu jest do pomysłenia, a
nawet realizację się w jakimś sen-
sie planowość w gospodarce kapita-
listycznej. Przejście przez pań-
stwo kapitalistyczne szeregu dzie-
dzin gospodarki, zakreśla pewne
ramy prywatno - kapitalistycznej
własności. Jej zasięg został ograni-
czony. Niemal w tym udział miała
walka mas robotniczych. I chyba
niepotrzebnie podkreślać w tym
procesie swą rolę niektóre partie
komunistyczne — np. francuska.
Wbrew temu cośmy dotychczas mó-
wili, nacjonalizacja środków pro-
dukcji we współczesnych warun-
kach kapitalistycznych oznacza coś
wiecej niż „obronę kapitalistów
prywatnych przed bankructwem”.
Organizacja produkcji, planowanie
perspektywiczne w tej dziedzinie

DEMOGRAFIA a budownictwo mieszkaniowe

(DOKONCZENIE ZE STR. 1)

podwójnie środki realizacji w ra-
mach tych możliwości. Trudno jest
w tej chwili określić granice tychże
możliwości.

Pamiętać przy tym trzeba, że nie
wolno traktować zagadnień budow-
nictwa mieszkaniowego w oderwa-
niu od potrzeb i programu budow-
nictwa komunalnego oraz innego

budownictwa o tym przeznaczeniu
specjalne odrębne zasady.

J. je można by używać zmiany
w warunkach mieszkaniowych na
koniec 1975 r., czy realizacja pro-
gramu podstawowego rozwiązuje kwe-
stie mieszkaniową w miastach? Oto
najogólniejsze zmiany (patrz tabela
nr. 5).

Poprawa wydaje się niezbyt wiel-
ka, jednak dopiero po uwzględnie-
niu innych istotnych elementów cha-

Tabela nr 4.

	Mieszkań (tys.)	Izb (tys.)	m kw. pow. (mln)	Ludn zakwater. (tys.)
Bud. państwowe	2.160	5.200	97,5	8.200
Bud. ludności	540	2.100	32,5	2.300
razem	2.700	8.000	130,0	10.500

budownictwa miejskiego o charak-
terze socjalno-kulturalnym i han-
dlowo-usługowym. Gdyby okazało
się możliwe, na podstawie analizy
możliwości ekonomicznych, włącze-
nie do programu budowy dodatko-
wych 330 tys. mieszkań, nie uwzględ-
nionych przy b. ostrożnej ocenie de-
ficytu, należałoby nadać temu do-
datkowemu programowi specjalny
charakter. Ocena potrzeb i program
podstawowy oparte zostały na zasa-
dzie, że przez cały czasokres dwu-
dziestoletni tylko 20% gospodarstw
domowych jednoosobowych zostanie
uznanych za samodzielne. Dalsza
możliwość poprawy warunków mie-
szkaniowych powinna pozwolić na
rozpoczęcie procesu usamodzielnia-
nia się pozostałych. Tendencja spad-
ku przeciętnej wielkości gospodar-
stwa domowego, która wyraźnie wy-
stępuje we wszystkich uprzemysłow-
ionych i zamożnych krajach, bę-
dzie u nas także ujawniać się coraz
silniej, wraz z postępem poprawy
warunków mieszkaniowych. Dodat-
kowy program budownictwa mieszk-
aniowego stwarzać powinien odpo-
wiednie warunki, a więc przewidy-
wać budowę małych mieszkań,
jedno i dwu-pokojowych. Przecięt-
nia tych mieszkań nie powinna przekra-
czać 24 izb na mieszkanie, co daje
dla dodatkowego programu 330 tys.
mieszkań — 800 tys. izb. Wydaje
mi się, że można by przewidzieć dla

ważne przekształcenia. W nowym
budownictwie ogółem wystąpi prze-
waga mieszkań średnich, 3 i 4-izbo-
wych, z drugiej strony należy liczyć
się z tym, że ubywać będą głównie
mieszkania najmniejsze. W wyniku
tych dwu procesów może zostać u-
sunięta przewaga mieszkań naj-
mniejszych (57% w 1955 r.). W 1975
r. da się osiągnąć zrównanie udziału
mieszkań 1 i 2 oraz 3 i 4-izbo-
wych. Będzie jednak nadal występo-
wał brak mieszkań 3 i 4-izbowych,
pewien brak mieszkań dużych i zna-
czna jeszcze nadwyżka mieszkań
małych 1 i 2-izbowych.

Zjawisko to nie pozwoli na likwi-
dację istnienia mieszkań przegęsz-
czonych. W 1955 r. 1/3 ludności
miast znajdowała się w mieszka-
niach przegęszczonych (powyżej 2
osób na izbę); spadek tej liczby o-
szacować można w 1975 r. na maxi-
mum 5-10%. Stosunek ilości gos-
podarstw domowych (nie przek-
ształconych) do ilości mieszkań,
wyrażać się będzie cyfrą 120 gos-
podarstw na 100 mieszkań. W porów-
naniu do krajów o zadowalających
warunkach mieszkaniowych nie jest
to wcale wielkość alarmująca.

Przy postulowanej rozbudowie za-
sobów mieszkaniowych ulegnie gło-
bokiej przemianie układ stosunków
własności. Udział zasobów uspołecz-
nionych wzrośnie z 54% do 64%
(ok. 8,5 mln izb), znacznie spadnie
udział zasobów nieuspołeczniczonych
— czynszowych z 29% do 12% (ok.
1,7 mln izb). Udział zasobów stano-
wiących własność osobistą ludności,
użytkowanych przez właścicieli,
wzrośnie z 17 do 24% (ok. 3,2 mln
izb). Gdyby okazała się możliwa re-
alizacja dodatkowego programu 800
tys. izb (330 tys. mieszkań), można
by uzyskać znacznie lepsze wyniki,
a mianowicie przeciętnie 1,3 osoby
na izbę, 3,6 osób na mieszkanie, 12,6

Tabela nr 5.

Koniec roku	Ludność mieszka- niowa w mln	Izb w mln	Osób na izbę	Ludność w mieszk. w mln	Mieszkań w tys.	Osób na mieszk.
1955	12,2	7,1	1,7	11,7	2.780	4,2
1975	19,7	14,0	1,4	19,0	4.980	3,8

m² powierzchni średnio na miesz-
kańca i 110 gospodarstw na 100 mie-
szkań. Jest to skala, która nie zmie-
nia jednak w sposób zasadniczy ob-
razu warunków mieszkaniowych.

Przy wielkim wysiłku inwestycyj-
nym w okresie 20 lat, przy uznaniu
gospodarki mieszkaniowej za jeden
z czołowych problemów gospodarczo-
społecznych można więc w sposób
zadowalający rozwiązać kwestię
mieszkaniową w miastach w tym
okresie. Naturalnie, że byłoby to po-
ziom dość daleki jeszcze od uzna-
nia za dobry.

Cechy charakterystyczne tego roz-
wiązania byłyby następujące: 1) za-
dawalający stosunek posiadanych
mieszkań do ilości gospodarstw do-
mowych z tym jednak, że ilość mie-
szkań zmniejszałaby ekonomicznie
ludność do skupiania się w większe
gospodarstwa domowe (przeciętnie
3,8 osób) nie pozwalając zrealizo-
wać tendencji spadku średniej wiel-
kości gospodarstwa; 2) absolutna
przewaga mieszkań małych (1 i 2-
izbowych) i średnich (3 i 4-izbowych)
przy przeciętnej 2,7 izb na miesz-
kanie; 3) w wyniku tego dość znacz-
ne zagęszczenie zasobów — 1,4
(względnie 1,3) osób na izbę; 4) zde-
cydowana przewaga zasobów mło-
dych o dobrym stanie technicznym
i wysokim stopniu wyposażenia miesz-
kań w instalacje sanitarne — co sta-
nowiłoby dla ludności rekompensa-
tę za małe mieszkania. Wzrost ekono-
miczny i techniczny skierowany
powinien być nie na podniesienie
wielkości mieszkań, a na podniesie-
nie ich wyposażenia i jakości.

W porównaniu do najbardziej roz-
winiętych krajów (które też nie bę-
dą stały w miejscu) osiągnięlibyśmy
ponad 250 mieszkań na 1000 mieszk-
kańców (względnie ok. 270), podczas
gdy Anglia posiada ich około 280,
Belgia — 340, Francja — 290, a
NRF ok. 210. Również budowa po-
nad 30 izb (10,5 mieszkań) rocznie
na 1000 mieszkańców, co byłoby o-
siągnięciem w roku 1975, świadczyłoby
o zlikwidowaniu przepaści jaka
dzieli nas dziś od tych krajów.

WITOLD NIECIUŃSKI

daleko od WARSZAWY

P przed jednym z państwowych sklepów „Bazar-Okazja” w Rzeszowie zatrzymała się nowitka „Warszawa”, a z wnętrza jej wynoszono do sklepu pokaźne partie towarów. Ponieważ pojazd miał prywatne znaki rejestracyjne, z których wynikało, że właściciel samochodu mieszka w Gdyni, zaś obserwujący to scenę kierownik Wojewódzkiego Zarządu Handlu w Rzeszowie nie przewidywał zaopatrywania podległej mu placówki handlowej w towar poprzez gdynińskich pośredników, zdecydował się więc na bliższe zbadanie tego zjawiska.

Przeprowadzona przez niego kontrola wykazała, że zamieszkały w Gdyni ob. S., który przywiózł do Rzeszowa, na podstawie uprzednio zawartego porozumienia — różne towary pochodzenia zagranicznego na łączną sumę 400 tys. zł, nie posiadał żadnych dokumentów uprawniających ani do zakupu tego rodzaju towarów, ani do sprzedawania ich w państwowych placówkach handlu. Wyciągnięty on wprowadził do sklepu jakieś zaświadczenie, które upoważniało go jako agenta Centrali Jubilerskiej do skupienia złota srebra na terenie województwa gdańskiego i szczecińskiego, ale nie mówiło ono nic o gumie do żucia, żyłkach, nylonowej galanterii, paście „Kiwi”, francuskich perfumach, sweterkach i innych drobiazgach.

Na zdrowy rozum biorąc, można było przewidywać, że pod tą całą transakcją kryje się przynajmniej dwa przestępstwa. Ob. S. najnormalniej spekuluje kupując na miejscu w Gdyni poprzez „Baltonek” czy maryparzy towar po cenach niższych — uzasadnionych obfitością tych za granicęj delikcji na miejscowym rynku — i sprzedając go znacznie drożej w Rzeszowie, pobawionym nadmiaru nylonowo-sweterkowo-

perfumowych atrakcji. Personel zaś sklepu „Bazar-Okazja” wprowadzając do obrotu towar nabyty od prywatnego dostawcy, sprzedaje go bez uwidocznienia w księgach i po cenach ustalonych dowolnie.

Tak też rozmawiał przeprowadzający za przypadkową kontrolę kierownik Woj. Zarządu Handlu w Rzeszowie. W wyniku tego toku rozumowania do rzeszowskiego „Bazaru” skierowana została na dłuższy tam pobyt ekipa Państwowej Inspekcji Handlowej. Sprawa zaś ob. S. potoczyła się aż kilkoma torami. Z Woj. Zarządu Handlu w Rzeszowie nadeszły bowiem równo brzmienne raporty aż od sześciu instytucji: Ministerstwa Kontroli Państwowej, Głównego Inspektoratu Państwowej Inspekcji Handlowej, Miejskiego Zarządu Handlu w Gdyni, Wojewódzkiego Zarządu Handlu w Gdańsku, Komendy Miejskiej Milicji Obywatelskiej w Gdyni i na wszelki wypadek do... Biura Listów Polskiego Radia. Można z tego wnioskować, że rzeszowskie władze uczyniły wszystko co w ich mocy, aby nie dopuścić do utonięcia wykrytej afery w czymś burku.

Trzeba oddać sprawiedliwość i powiedzieć od razu, że nie utonęła. Wręcz przeciwnie, wszystkie pisma Woj. Zarządu Handlu zbiegły się w jednym biurku oficera śledczego Komendy Wojewódzkiej MO w Gdańsku, prowadzącego w tej sprawie dochodzenie.

Niewiele mu to pomogło, ale przynajmniej na brak zainteresowania sprawą nie mógł narzekać. Mniej pociesającym jest fakt, że według wszelkiego prawdopodobieństwa cała ta sprawa utknie na martwym punkcie. I tutaj warto prześledzić, jak to się dzieje, że niewątpliwie w oczach zwykłego obywatela przestępstwo zamienia się w toku dochodzeń niemal w akcję charytatywną, a podejrzany o spekulację okazuje się nie tylko niewinnym barankiem, ale wręcz człowiekiem skrzywdzonym, który

poniósł straty na transakcjach zawieranych z państwową placówką handlową.

A oto przebieg tej zadziwiającej metamorfozy. Ob. S. przybył na przesłuchanie w Woj. Komendzie Milicji w Gdańsku z teczką pod pachą i uprzejmym uśmiechem na twarzy. Po wstępnych formalnościach typu: imię, nazwisko, data urodzenia — przystąpiono do sedna sprawy. I tutaj nagle to sedno okazało się wręcz nieoczekiwane. Ob.

11 kwietnia umowa ta została podpisana — odpowiada spokojnie ob. S. i nic więcej nie ma, na ten temat do powiedzenia.

Oczywiście pomija on dyskretnie ten drobny szczegół, że został skontrolowany właśnie w tym dniu, że trzeba przeczyć było jakoś wybrnąć z niemiłej sytuacji i t. p.

Nie pomija natomiast innego szczegółu, a mianowicie skarży się prowadzącemu dochodzenie oficerowi Milicji na nieuczciwość pań-

stwa. Nie ulega wątpliwości, że wpadł pod kontrolę państwową — prawdopodobnie szybko zalegalizował swoją działalność. Przedstawienie umowy nie można właściwie nazywać formalnym punktem widzenia zarzucić, przynajmniej jeśli chodzi o ob. S. Nawet jeżeli ten „Bazar-Okazja” nie miał żadnych podstaw do zawierania takiej umowy, to ob. S. nie musi o tym wiedzieć, albowiem działa w „dobrej wierze” ufając papierkowi z firmowym

zapytać wszystkich — świętych rzeszowskiego handlu z miejskim zarządem handlu wzięcie, dlaczego przez długie miesiące nie zainteresowali się, na jakiej podstawie, na jakich warunkach i w ogóle jakim cudem „Bazar-Okazja” — zamiast upłynniać konfekcję czwartego gatunku — usiłuje robić kokosy pierwszorzędnych ciuchów.

Po drugie nie rozumiem zupełnie mechanizmu zawierania umów agencyjnych.

Po dłuższych poszukiwaniach odkryłem wprowadzić w Ministerstwie Handlu Wewnętrzne instrukcję z 6 lutego br. uzupełnioną instrukcją z dnia 16 czerwca br., mówiącą między innymi o skupie lub sprzedaży za pomocą agentów, ale tutaj teoria różni się od praktyki. Instrukcja ta bowiem — przynajmniej ja ją tak rozumiem — miała dać kierownikom przedsiębiorstw wolniejszą rękę w dokonywaniu zakupów artykułów przemysłowych z różnych zdecentralizowanych źródeł, w celu wzbogacenia masy towarowej sprzedawanej w sklepach sieci podległej MHW. Cel prosty i jasny. Dając przedsiębiorstwu handlowemu możliwość bezpośredniego docierania do drobnych wytwórców, rzemieślników czy chałupników stwarzało dogodniejsze warunki dla pobudzenia rozwoju produkcji i urozmaicania asortymentu sprzedawanego towaru.

W jakim jednak stopniu spełnia te podstawowe zadania zawieranie nawet najuczciwszych umów z dostawcami „baltonowskich” ciuchów do rzeszowskich bazarów?

Pomijając wszelkie inne względy, umowa taka pozwala pośrednikowi na zarabianie kroci bez najmniejszej korzyści społecznej. Przecież z jednej, tej pchełowej transakcji 8 kwietnia, mógłby ob. S. najlegalnie zainkasować 8 tysięcy złotych w charakterze 2% prowizji od 400 tys. zł. Komu są potrzebne takie umowy? Komu zależy na napędzaniu do kieszeni różnych obrabnych płatników, podróżyjących własnymi „Warszawami” po kraju, dziesiątków tysięcy złotych? Kto w końcu odnosi korzyść i ile zarabiał na ułatwianiu takich zyskowych rańdów?

Nie chodzi tutaj zresztą o tę jedną sprawę ob. S. Władze śledcze trójmiasta sygnalizują masowe zjawisko pojawiania się w Gdyni, w okolicach „Baltonek” i innych punktów czarnej giełdy towarowej, całych kohort różnych niebieskich i płaskich — specjalistów od pieprzu, żyłek, gumy do żucia czy świecidełkowej biżuterii. Dowiemy tylko polega na tym, że każdy z tych, znanych zresztą już z widzenia milicjantom, kombinatorów w chwili zatrzymania go przez władze wyściaga z kieszeni właśnie umowę agencyjną, wystawioną nieraz przez najbardziej nieuczciwych przedsiębiorców.

Zatrzymana na przykład z pokazaną partią żyłetek paniusia wylegitymowała się ni mniej ni więcej — umową agencyjną wystawioną przez Centralny Dom Towarowy w Warszawie. I tu można zapytać, czy tak poważna placówka handlowa nie ma już innego sposobu nabycia żyłetek, jak tylko przy pomocy umowy agencyjnej, napędzającej zupełnie zbędnemu pośrednikowi słone prowizje? Przy okazji zresztą okazało się, że owa pośredniczka obok prowizji zarobiła dodatkowo fundusik podając wyższą cenę zakupu.

Czy ktoś jest w ogóle w stanie sprawdzić, jaka część towaru zakupionego przez takich pośredników trafia rzeczywiście do państwowej sieci handlowej, a jaka zasila wolny rynek i kabzę krytego papierkiem agenta?

Przecież tą metodą za kilka miesięcy w ogóle nie będzie spekulantów, a będą tylko agenci kryci umowami zawartymi z przedsiębiorstwami uspołecznionymi, od CDT począwszy a na gminnej spółdzielni skończywszy. Po jakie więc licha postawie męczyci się cztery miesiące nad uchwaleniami antyspekulacyjnej ustawy, gdy swobodna interpretacja zarządów MHW pozwala na niemal całkowite omińnięcie co groźniejszych jej artykułów?

Na ile tych wszystkich spraw można wysunąć kilka wniosków. Na pewno należy jak najprędzej zainteresować się wieloma zawartymi już umowami agencyjnymi, gdyż obserwacje milicji gdynińskiej wykazują, że w ogromnej większości stanowią one często parawan dla starej, znanej, tylko w nowe legalne szatki przybranej, spekulacji.

Ponadto pracownicy biura prawnego Ministerstwa Handlu Wewnętrznego powinni dokonać przeglądu obowiązujących przepisów, określić, jakie masowe machlojki kryją się pod niektórymi słusznymi nieraz w intencji zarządzeniami czy instrukcjami. Trudno tutaj szerzej omówić podwójną rolę wielu instrukcji. Wiem natomiast, że zarówno Główny Inspektorat, że Państwowej Inspekcji Handlowej jak i Generalna Prokuratura dysponują obfitym materiałem, który pozwoli Ministerstwu Handlu Wewnętrznego na skorygowanie wielu zarządzeń resortowych, znakomicie ułatwiających nadużycia i pospolite, na miłe pachnące spekulacją poczynania o obrotniejszych kombinatorów.

ZYGMUNT SAWICKI

SPEKULACJA JEST PRZESTĘPSTWA NIE MA

S. przedłożył bowiem zdumionemu oficerowi śledczemu dokument, z którego czarno na białym wynikało, że jest on oficjalnym, legalnym agentem plenu tytułu przedsiębiorstwa uspołecznionego „Państwowa Sprzedaż Okazyjna — Bazar w Rzeszowie”. Na dokumencie widnieje data 11.4.57. Pokrywa się ona z pismami z Woj. Zarządu Handlu w Rzeszowie. Właśnie 11. IV.57 r. została przez kierownika Woj. Zarządu Handlu „nakryta” owa dziwna transakcja.

Dlaczego właśnie w tym dniu została podpisana umowa? — pada pytanie.

Poprzednio uzgodniliśmy tylko ustne warunki współpracy i po przywiezieniu na próbę pierwszych partii towaru, miała być podpisana stała umowa agencyjna. Właśnie

stwowego kontrahenta, albowiem ob. „Bazar-Okazja” nie zapłacił mu zagwarantowanych tą właśnie umową 2% prowizji od wartości sprzedanego towaru. Jest on wyraźnie pokrzywdzony. Wyłożył własne pieniądze na benzynę do odległego Rzeszowa, aby tylko wzbogacić masę towarową w państwowych sklepach i pomóc w miarę swoich skromnych środków do ożywienia państwowego handlu; nie otrzymał za to żadnego wynagrodzenia, a do tego wszystkiego traci teraz dodatkowo czas na przesłuchania i to stojąc pod zarzutem uprawiania jakiejś brzydkiej spekulacji.

Uderzenie było dość celne. Prowadzący dochodzenie, chociaż dobrze wie co o tym wszystkim myśli, nie bardzo jednak wie co teraz z tym fantem robić.

stemplem i podpisem. Nic się urywa.

Skończyło się przesłuchanie i zaczęło żmudne montowanie materiału dowodowego.

Szczegółowe porównywanie pozycji w przedstawionej przez ob. S. „księdze zakupów” z książkami sklepowymi rzeszowskiego „Bazaru” pozwoliło stwierdzić, że pracownicy tego „Bazaru” podnieśli znacznie cenę dostarczanych obrączek i innych drobiazgów, ale nie o to chodziło. Te trzy prymitywne machlojki z cenami, które wzbogaciły dodatkowo kieszenie rzeszowskich „bazarowiczów” o kilkanaście tysięcy złotych, są drobnym i nieistotnym — moim zdaniem — fragmentem całej sprawy.

Istota rzeczy tkwi w czym innym. Jak się to w ogóle mogło stać, że w naszych warunkach, gdy państwo teoretycznie kieruje sprawami rynku, obrotny kombinator potrafił zakupić ogromne partie towarów, sprzedać je za pośrednictwem państwowej sieci handlowej z niewątpliwym, dość pokaźnym zyskiem? Gdy się w końcu tego kombinatora łapie za rękę na gorącym uczynku, to cała ta dobrana paczka współników szybko legalizuje całą machinację i usiłuje puścić konie w wodę.

Po trzech miesiącach dochodzeń prowadzący śledztwo: oficer Milicji nie widzi niestety żadnych podstaw do oskarżenia organizatora rzeszowskiego interesu, ob. S.

Oskarżenie z tytułu spekulacji z któregośkolwiek artykułu upada, albowiem ma on dokument legalizujący jego „handlową” działalność. Ze legalizuje post factum i w obliczu grożącej wyspy? Ale ob. S. wyjął, że wynikało to z wyłączenia z opieki państwa kierownictwa „Bazaru”, albowiem on pracował tylko na zlecenie tego przedsiębiorstwa i na ustalonych warunkach zapłaty takich, jakie właśnie są uwidocznione w zawartej chociaż późno, ale zgodnie z poprzednio ustnie uzgodnionymi warunkami, umowie. Wszyscy zainteresowani zgodnie takie wyjaśnienia potwierdzają, albowiem dużo wygodniej jest ponieść odpowiedzialność za spóźnienie, nawet przez niedbalstwo, niż podpisać umowę agencyjną, niż przyznając się, że na słowo honoru uprawiało się w państwowym sklepie, za państwową pensję, prywatne interesy na swoje własne konto.

Na marginesie tej całej sprawy chciałbym poczynić kilka niemarginesowych uwag. Przede wszystkim zupełnie nie rozumiem, jakim cudem w państwowych sklepach typu „Bazar — Okazja” zorganizowanych przecież w ściśle określonym celu upłynniania rozmaitych starych relikwii i tzw. „bubli”, mogły w ogóle pojawić się bez zwrócenia uwagi władz zwierzchnich duże partie zagranicznych świecidełek, perfum, biżuterii. Nie rozumiem, dlaczego dopiero widok gdynińskiej „Warszawy”, z której wydłowywano paki tego dziwnego jak na „Bazar” towaru, wzbudził podejrzenie, że coś w tym interesie nie gra lub gra, ale niewłaściwą metodą.

Nasuwa się prosty wniosek, że dla robienia planu, premii i tym podobnych przyziemnych osiągnięć każdy towar może być dobry, nawet taki, o którym właściwie nie wiadomo skąd pochodzi, za ile został zakupiony i komu przysparza „akumulacji”. Wystarczy, że zjawi się ob. S., pokaże kilkanaście kartek z własnoręcznie prowadzonymi notatkami, z których wynika tylko to, co sam chce aby wynikało, i interes nabiera rumieńców. Gdy się weźmie pod uwagę, że rzeszowskie „Bazary” już od lutego badają się całymi obok bubli zajmować się importowanymi atrakcjami, to można



Gdzie ten skandal?

Co za cymbał? Co za duren? Co za zakuty biurokrata? I sam nie wie i drugiemu nie da. Oto mała próbka epitetów, którą kierował w duchu pod adresem dyrektora Centrali Rybnej każdy chłopa kto czytał w nr 172 „Życia Warszawy” notatkę pod tytułem: „Skandal w przemysle rybnym”.

No bo pomyśleć tylko. Morze obdarzyło nas bogatymi połowami szprot. Po 50 i więcej ton dziennie łowią go nasi dzielni rybacy z przedsiębiorstwa połowów „Arka”. Tymczasem zakłady rybne nie chcą przyjmować szprot. To do przerobu więcej niż 5 ton dziennie. Pomimo, że są w stanie przerobić w ciągu dnia 20 ton. W dodatku gdy „Arka” chce sprzedać nadwyżkę szprot przetworzonymi spółdzielczym i prywatnym Centrala Rybna się nie zgadza i całą nadwyżkę kieruje do przerobu na mączkę rybną.

Tracą więc wszyscy. Konsument — bo nie otrzymuje większej ilości wysokogatunkowej ryby; handel zagraniczny — bo nie może eksportować większej ilości konserw ze szprot, na które jest zawsze na rynku światowym duże zapotrzebowanie; „Arka” — bo większą część połowu sprzedaje po niskiej cenie do fabryki mączki rybnej; fabryka mączki rybnej — bo produkuje tę wartościową paszę trześcianą dla inwentarza po wygórowanej cenie (wytworzenie 1 kg mączki ze szprot kosztuje 15,25 zł, a urzędowa cena mączki wynosi 2,7 zł, zaś na wolnym rynku 6 zł); zakłady rybne — bo nie wykorzystują swoich pełnych możliwości produkcyjnych; wreszcie spółdzielcze i prywatne przetwórcy — bo odczuwają brak szprot do przerobu na konserwy i do wędzenia.

Rychoło okazało się jednak, że sprawa wcale nie jest taka prosta.

Oto „Trybuna Ludu” z 5 sierpnia doniosła, że to bynajmniej nie bezduszność Centrali Rybnej pozbawia nas tej smaczkowej potrawy, a wygórowana cena szprot surowego, która sprawia, że uspołecznionym zakładom rybnym nie opłaca się go przyjmować do przerobu. Ministerstwo Żeglugi już od dłuższego czasu występuje do Państwowej Komisji Cen o zatwierdzenie zmian w cenach zbytu. Niestety bez widomych rezultatów.

W tym miejscu zapewne każdy czytelnik „Trybuna Ludu” zapatał z kolei świętym oburzeniem na komisję cen — tę jaskinię biurokracji, tego drugiego po PKPG kózla ofiarnego wszystkich naszych absurdów gospodarczych. Gdy się jednak bliżej przyjrzyć temu rybnemu galimatiasowi okaże się, że sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana.

W myśl odpowiednio wyszukanych postanowień i okólników przedsiębiorstwa połowów „Arka” posiada wyłączne prawo skupienia szprot od rybaków. Zgodnie z nienaruszalnym postanowieniem Komisji Cen płaci ono rybakom 2,20 zł za kilogram szprot „A” klasy, „Arka” z kolei odstępuje szprot wyłącznie Centrali Rybnej po 4,25 zł za kilogram. Centrala Rybna natomiast posiada tzw. prawo gestora we wszystkich obrotach rybnymi. Prawo to w tym przypad-

ku sprowadza się jednak w zasadzie do tego, że w myśl odpowiednio wysoko ustalonych przepisów (by nie łatwo je było zmienić) przekazuje ona rybę do przetwórci państwowych lub, gdy te nie są w stanie jej przyjąć, do przerobu na mączkę rybną.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby ryba chciała się słuchać okólników, a przedsiębiorstwa nadal nie interesowały się wynikami swojej sprawy. Na ogół bowiem szprot letni nie nadaje się do przerobu na konserwy czy do wędzenia. Jest zbyt chudy. Idzie więc głównie na mączkę rybną. Zakładom rybnym zaś było wszystko jedno jak kształtują się koszty produkcji.

W tym jednak roku szprot jest tłusty i jest go dużo. Warto więc przeznaczyć go do produkcji konserw. Zakłady rybne nie chcą go jednak przyjmować, a chłodnie mogą zamrażać co 2 godziny 2,5 tony. Ale szprot zarządzać nie słucha. Jednego dnia lezie go w sieci 15, a drugiego 150 ton.

Przedsiębiorstwo połowów „Arka” uważa, że cały połów powinna odebrać Ekspozytura Centrali Rybnej stosownie do jakości szprot; a więc po wyższej cenie na konserwy, a po niższej na mączkę rybną. Centrala Rybna zaś uważa, że po wyższej cenie (na konserwy) może odebrać tylko tyle, ile chce przerobić zakłady rybne. Tym zaś szprot przerabiać się nie opłaca. Ich bowiem zysk na kilogramie przerobionego szprot jest czterokrotnie niższy niż na kilogramie przerobionego śledzia. Przeróbka szprot zmniejszałaby więc bardzo ich fundusz zakładowy.

Trzeba przyznać, że w tych nielatwych warunkach dyrektor Centrali Rybnej okazał się „geniuszem przewidzianym”. Już bowiem w połowie maja zwrócił się do Ministerstwa Żeglugi o obniżenie ceny zbytu szprot przez „Arkę” do zakładów rybnych z 4,50 na 2,80 zł za kg; co miało zapewnić zakładom rybnym odpowiednio rentowny przerób szprot.

Okazuje się jednak, że zmiana ceny rozliczeniowej szprot jest u nas aktem zbyt doniosłym

wagi państwowej by mógł o niej decydować minister. Tu władza jest tylko Państwowa Komisja Cen. Przedsiębiorstwo jest u nas tysiącami, a artykułów, na które trzeba wyznaczyć ceny, miliony. Nim więc sprawa zostanie rozpatrzona trzeba czekać.

Rozumiemy to na ogół wszyscy i nikt nie ma pretensji. Tylko szprot nie chce zrozumieć i się psuje. Nie chce też zrozumieć „Arka”, którą to bije po kieszeni. Usiłuje więc sprzedawać szprot przetworzonym prywatnym.

Na to znów nie może zgodzić się Centrala Rybna. Szprot bowiem z przetworzonymi prywatnymi jest zbywany prywatnym detalistom. Nie wzbogaca więc masy towarowej centrali rybnej; zaś szprot przerobiony nawet na mączkę rybną to cenne dewizy (150 dolarów za tonę). Tona konserw ze szprot kosztuje uprzednio 600 dolarów. Gdy jednak nie ma się 600 — dobre i 150 — pomyślał dyrektor Centrali Rybnej i nie pozwolił sprzedawać szprot prywatnym przetwórciom. Zobowiązany bowiem prywatnych przetwórci do dostarczenia Centrali Rybnej w zamian za sprzedanego im szprot odpowiednich ilości przetworów nie leży w kompetencji jej dyrektora.

Kłóż jest więc winien?

Jeżeli nie „Arka”, nie Centrala Rybna, nie Ministerstwo Żeglugi i nie Komisja Cen — to chyba szprot? Po co się tak pcha w te sieci?

A może po prostu winien jest SYSTEM? System, który wbrew wszelkim zasadom naukowej organizacji maksymalnie oddala ośrodki dyspozycji od ośrodków wykonania.

Muszę więc chyba w imieniu własnym, kolegów z „Życia Warszawy” i „Trybuna Ludu” oraz wielu czytelników tych pism przeprosić dyrektora Gradowskiego z Centrali Rybnej i Prezesa Strumińskiego z Państwowej Komisji Cen za nieludzkie insynuacje. Pod adresem zaś Prezydium Rady Ministrów i Rady Ekonomicznej wypada zawołać: Zróbcie coś wreszcie z tym nowym modelem, bo ten dzisiejszy to skandal.

G. PISARSKI

ŻYCIE gospodarcze

Redakcja:
Warszawa, ul. Hoża 35.
Telefony: Redaktor Naczelny — 896-25.
Sekretarz Redakcji — 896-28, Redaktorzy — 883-92, Centrala — 883-13, 880-71.

REDAGUJE ZESPÓŁ: W. Brus, A. Brzeski, S. Frenkel, J. Głowczyk, T. Jaworski, M. Kabaj, T. Kowalik (red. nac.), J. Sikulski (sekr. red.), Z. Morecka, M. Ostrowski, J. Pałeska, R. Perewickowicz, A. Rajkiewicz, W. Sadowski, H. Sukienicki (z-ca red. nac.), J. Werner, J. G. Zieliński

WARUNKI PRENUMERATY: rocznie 104 zł, półrocznie 52 zł, kwartalnie 26 zł. Cena i egz. z 2.—. Zamówienia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu” składają zamówienia w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Zamówienia na prenumeratę należy składać do dnia 10 m-cia poprzedzającego okres prenumeraty. Niezamówionych rękopisów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: „Polskie Wydawnictwo Gospodarcze” Przedsiębiorstwo Państwowe. Skład i druk KSW „PRASA”, ul. Marszałkowska 3/5. Nakł. 19 900. Zam. 1510. B-13